Nr. 1. Warszawa, dnia 2 Stycznia 1892 r. (21 Grudnia 1891 r.). **Rok XII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Z GALICYI.

Lwów, 26 grudnia.

Wybory do Rady gminnej.

Wszelkie wybory są kamieniem probierczym dojrzałości społeczeństwa. U nas dokonywają się one przy pomocy środków, których zastosowanie świadczy z jednej strony o bardzo nizkim poziomie moralności wyborców, z drugiej zaś o wątpliwej wartości wybranych. Pieniądz, przymus, protekcya, hojna obietnica są — obok dobrej wyżerki i obfitego napitku — najlepszymi sprzymierzeńcami tych, którzy się ubiegają o zaufanie wyborców. Znaleźć stu ludzi, którymby dobro miasta leżało na sercu, którzyby pilnie, sumiennie i z zaparciem się swych osobistych ambicyj jedynie nad rozwojem swego grodu czuwali — to rzecz niełatwa. Ale przynajmniej należałoby uniknąć wszelkich złych środków, naprzód dlatego, że liczba radnych jest tak znaczna, iż mogą w niej znaleźć pomieszczenie zacni obywatele najróżnorodniejszych przekonań, a powtóre że stolica powinnaby świecić przykładem całemu krajowi.

Wobec faktu, iż miasta nasze podupadły, powinna u nas mieć tem większą wagę każda sprawa, dotycząca ich podźwignięcia. Daleko nam do tego, ażeby one stały się ogniskami ruchu umysłowego i życia obywatelskiego dla otaczających je okolic. Nie możemy tego powiedzieć nawet o stolicy. Nie od dziś walczą z sobą w kołach zarządu miejskiego dwa stronnictwa główne, rozpadające się znów na drugorzędne — a mianowicie zwolennicy polityki „inwestycyjnej,“ pragnący uporządkowania Lwowa i postawienia go na równi z innemi miastami cywilizowanej Europy, oraz konserwatyści, którzy ostatecznie nie zaprzeczają potrzeby zabudowania go i różnych ulepszeń, ale pragną postępować powolniejszym krokiem. Przy dawniejszych wyborach szeregowali się przedstawiciele tych dwóch prądów jako zwolennicy pożyczki lub jako jej przeciwnicy. Na czele stali dwaj profesorowie tutejszego uniwersytetu; z jednej strony Leon Biliński, z drugiej Teofil Ciesielski z zastępem przedmieszczan. Wówczas sprawa pożyczkowa upadła. Następne wybory do Rady miejskiej dokonane zostały pod wpływem ugody pomiędzy „mieszczaństwem“ a „inteligencyą,“ która wydała rządzącą obecnie większość liberalną, umiarkowaną w dążeniu do reform. Ten kierunek Rady miejskiej odpowiada w zupełności wpływom magistratu naszego, który we Lwowie opanowywa niemal zupełnie reprezentacyę miejską wskutek tego właśnie regulaminu, iż do wszystkich działów magistratu wciągani bywają radni.

Przypatrzmy się bliżej dotychczasowej praktyce wyborczej. Już na kilka dni przed prawnie dozwolonym okresem sejmikowania zbiera się na ratuszu grono kilkunastu rajców miasta, którym najbardziej zależy na... *dalszej dzierżawie krzeseł radzieckich* i układa sobie w cichości listę t. zw. *obszerniejszego* komitetu, złożonego zazwyczaj ze 150 osób. Z liczby tej usuwa się wszystkie osoby niepożądane z obecnej Rady, a wprowadza się takie, które swą biernością służyć mogą jako wyborne parawaniki. Równocześnie z tą listą obszerniejszego komitetu utworzona zostaje druga komitetu ściślejszego, zwykle zawierająca 30 mężów, wybranych z owej liczby 150 z wszelką możliwą oględnością tak, aby garść ludzi swoich była na wszelki wypadek górą. Po tej starannie dokonanej proskrypcyi czeka się rozpisania wyborów; tymczasem zaś pracuje się w pocie czoła przy każdej sposobności w restauracyach, kawiarniach i wszelkich handelkach, czyli — mówiąc po galicyjsku — „agituje się za głosami.“ Wreszcie czas wyborów ogłoszony. Sążniste plakaty zwołują wyborców do obrad „na ratusz.“ W oznaczonej godzinie wypełnia się sala po brzegi „narodem“ — dziwnym jednak zbiegiem okoliczności śród rzeczywistych wyborców oko, obeznane z naszymi stosunkami, dostrzeże kupki niewyborców z rodzaju „Bierversilbererów“ i innych „hyen wyborczych,“ a tu i owdzie widzisz istotę z miną tajemniczą i dziwnie na piersiach odętem ubraniu. Na dany znak obwołują przewodniczącego (z góry obmyślanego) i sekretarzów posiedzenia. Wszczyna się ruch i zamęt, toczą się „żywe obrady,“ sypią się wnioski, a roztropny prezes kieruje wszystkiem tak, aby jego partya „wzięła sytuacyę,“ ku czemu służą nieraz i takie środki, że ludzi z przeciwnego obozu nie dopuszcza się do głosu. Gdy już zebranie zgodzi się na wybór obszerniejszego komitetu, ale pomimo przygotowanej naprzód scenery grozi niebezpieczeństwo, że jakiś niemiły dla aranżerów wniosek przejdzie, wtedy na dany znak urządzają „hyeny wyborcze“ piekielny zgiełk, wśród którego przewodniczący może wraz z dobranymi sekretarzami „rzecz zarządzić“ tak, jak zechce, poczem burza uspokaja się. Następuje głosowanie. Przygotowani mężowie wyciągają drukowane już listy i rozdają wszystkim naokół. Jeśli partya przeciwna nie była na taki manowr przygotowana, to przegrywa odrazu sprawę, bo lista przeciwników przejdzie w zupełności; lecz i w przeciwnym razie nie ma obawy o wynik walki, bo od czegóż zmysł polityczny „Bierversilbererów“? Kto tam kogo w tej masie skontroluje, czy raz, czy dwadzieścia razy listę oddał, czy wreszcie z wypchanego ubrania nie wsunęła się naraz do kapelusza cała paczka list wyborczych — i oto „skrutynium“ dokonane ogłasza zdziwionemu „narodowi,“ że lista obszerniejszego komitetu, ułożona i przedstawiona przez reżyserów ratuszowych, uzyskała tyle a tyle setek głosów — a lista lub listy przeciwne (dla przyzwoitości) np. połowę. Nic tu nie pomoże dowodzenie przeciwników, że tak ogromna liczba głosujących wcale w sali pomieścić się nie może, że nawet przyłapano tych, którzy całemi paczkami listy wsuwali — daremne protesty!

Po zwycięstwie odniesionem przy wyborze obszerniejszego tak zwanego „miejskiego“ komitetu ściślejszy przeprowadza się już z łatwością; bo jeżeli nawet ktoś z obecnych chce przeciw temu wystąpić, to go „większość“ zakrzyczy. Z dokonaniem tego przedostatniego wyboru komedya skończona. Niech tam co chce naród wygaduje na ratuszu, nic to już nikogo nie obchodzi, Komitet miejski jest jako prawny przedstawiciel opinii nietykalny. Rozpoczyna się teraz nowy, ostatni już akt wyboru 100 kandydatów do Rady przez ów komitet ściślejszy. Walka na języki wre teraz zacięta, bo oprócz paczki przewodców i trzody potulnych owiec czy baranów znajdą się w nim nieraz ludzie przekonań. Skoro jednak przyjdzie do głosowania, hersztowie wychodzą zwycięsko; a jeżeli na jakiemś posiedzeniu, z powodu nieobecności jednego lub drugiego barana, kandydat przepadnie, to się go na następnem ocala, a zwoławszy w przeddzień wyborów dla formy komitet obszerniejszy, podaje mu się do niemego zatwierdzenia tak ułożoną listę stu kandydatów do Rady miejskiej. Ale jest to dopiero utarczka czat przednich;

istotna walka zużywa więcej amunicyi; to też aranżerowie sami lub za pomocą głównego faktora, zwanego „macherem,“ urządzają *licytacyę krzeseł radzieckich*. Jużci od ludzi poważanych lub takich, którzy przywódcom mają jako parawany ułatwiać panowanie, trudno żądać opłacania się za dostojeństwo; ale od czegóż są ci, dla których być radnym, to jedyny „onur“ lub ci, którzy potrzebują pewnej rehabilitacyi! Tacy płacą za to nie setkami, ale *tyciącami*, a faktor urządza licytacye „in plus“ i zgarnia ciepłą ręką grosze na... dalsze koszty wyboru. Tymczasem zostały karty głosowania rozesłane. Zgraja „hyen wyborczych“ pod komendą „machera“ rozlatuje się po mieście i prośbą, groźbą lub pieniędzmi wyłudza od wyborców karty głosowania i znosi je do przywódców, którzy wzywają ich później do fałszywego głosowania. Poczucie obowiązków wyborcy jest jeszcze nawet w mieszkańcach stolicy tak mało rozwinięte, że wielu, którym zawód utrudnia osobiste oddanie głosu w dniu wyborów, chętnie odstępuje swe karty. Tak np. większość dorożkarzy oddaje swe karty pewnemu osobnikowi, który dawniej pozostawał z nimi w bliskich stosunkach i sam je sobie od nich wypraszał — dziś spanoszony zbiera te głosy przez pośredników. Warto się zaś o to potrudzić, skoro można takich kart zebrać przeszło 200. W dniu wyborów rozporządzają aranżerowie setkami takich kupionych kart do głosowania (przy ostatnich np. mieli przeszło 800). Najmujo się tedy u jakiego „przedsiębiorczego ducha“ lokal w rynku, urządza się ogrzewalnie, gdzie przychodzi na wódkę i kiełbasę gawiedź głodnych niewyborców, ktorych wysyłają pod kontrolą „straży“ do głosowania. Indywiduum takie, w miarę swego wyglądu, udaje, nadrabiając miną i chowając brudne łapy, to męża jakiej inteligentnej właścicielki realności, to pełnomocnika wdowy, to jakiego urzędnika, który w interesie służbowym wyjechał, to umarłego już emeryta itp., a jeśli przypadkowo — co zresztą bardzo rzadko się zdarza — ktoś z komisyi złapie takiego fałszerza, ten rozśmieje się tylko dobrodusznie i wyjdzie z sali, aby za chwilę znowu próbować szczęścia w innym kącie. Jeden z reżyserów siedzi w ogrzewalni i rozdziela role, drugi prowadzi wykaz kart głosowania kupami posortowanych; wybiegnie też na rynek i tu plakat zedrze, tam wykupi od roznosiciela pakę list partyi przeciwnej, to znów połamie jej tablice z plakatami — stronnicy takie czyny historyczne nagradzają sowicie, przysparzając bohaterowi jakie tłuste „synekurczęta.“ Gdy zaś miara takich ohyd się przebierze i ogół pocznie za głośno sarkać, spędza się to po prostu na partyę przeciwną i twierdzi, że to ona kiełbasą i wódką walczyła przeciw jedynie uprawnionej akcyi komitetu miejskiego. Równocześnie wre pod ratuszem hałas i zgiełk; najęta sfora „hyen wyborczych“ na wszelkie możliwe tony poleca swoje listy; uwija się przed salami wyborczemi, wydziera karty z rąk swym przeciwnikom, urządza sztuczne zbiegowiska, odstrasza spokojnych obywateli od głosowania, lub zmusza mniej zdecydowanych do głosowania na swoich kandydatów. Oczywiście, dozwolone to tylko... agitatorom komitetu miejskiego, bo jeśli się na taki sam krok zdobędzie agitator mniejszości, to niebawem znajdzie się — po za obrębem ratusza.

Dzień ma się ku schyłkowi; głosowanie skończone. Obliczają się listy, oddane w każdej z pięciu sal. Niestety, i przy komisyi skrutacyjnej, która przez ciąg kilku tygodni spełnia zmudną czynność obliczania głosów dla każdego z mających być wybranymi 100 radnych, dzieje się często niesprawiedliwość. Gdy jedno lub drugie oko argusowe rzetelnych skrutatorów się znuży, zapraszają resztę na śniadanko do sąsiedniej sali, a tymczasem w listach kandydatów powstają zmiany, które — jak to np. przy ostatnich wyborach stwierdzono — dają wynik całkiem niespodziewany. Po prostu wykreśla się nazwiska sobie niemiłe, a dopisuje pożądane. Przy tej osławionej manipulacyi biorą niektorzy łapówki tu i tam, a gdy ich złapią na tem, że dwu stronom za pieniądze równocześnie służą, odpowiadają bezczelnie: „na co Bóg dał ręce“?.. Tym praktykom haniebnym należałoby raz tamę położyć. Niestety, usiłowania w tym kierunku są zbyt słabe, a do przeprowadzenia byborów bez przekupstwa i przymusu, jedynie według wolnej i nieprzymuszonej woli, bardzo jeszcze daleko.

Beta.

Z AUSTRYI.

Wiedeń, 27 grudnia.

Nowy minister. — Kim jest hr. Kuenburg. — Rozwiązanie parlamentu węgierskiego.

Układy hr. Taaffego z lewicą, rozpoczęte jeszcze w lipcu r. z., doprowadziły wreszcie do rezultatu widomego. Wprawdzie nie została ona jeszcze stronnictwem rządowem, nie przystąpiła do stałej, zorganizowanej większości, lecz weszła z hr. Taaffem, że się tak wyrazimy, w stosunek osobisty. Jeszcze na początku nowej sesyi parlamentarnej oświadczył on gotowość odstąpienia jej krzesła w gabinecie, jako rękojmię trwałej zmiany systemu: zaznaczył zarazem, że zamierza dokonać wyboru ministra z lewicy po ukończeniu obrad budżetowych. Zręczny polityk złagodził w ten sposób opór przeciwników, co więcej, ugłaskał tem przyrzeczeniem przewódcę ich, Plenera, gdyż zarówno lewica cała, jak sam Plener byli przekonani, że naturalną koleją rzeczy nie kto inny, tylko on wejdzie do gabinetu. Tymczasem hr. Taaffe, podjąwszy teraz odnośne układy, zaczął od oświadczenia, że pod żadnym warunkiem na Plenera, jako ministra, zgodzić się nie może; jest to bowiem, zdaniem jego, człowiek tak wybitny, że wstąpiwszy do gabinetu, musiałby zostać jego głową; ponieważ zaś korona dotychczas życzy sobie, aby hr. Taaffe pozostawał na stanowisku naczelnem, dla Plenera przeto nie ma miejsca na ławie ministeryalnej. Tę ironiczną wymówkę, która dla każdego nieuprzedzonego jest wysoce zabawna, lewica i organ jej *Neue freie Presse* wzięły na seryo i pocieszają się „pochlebnem umotywowaniem“ odprawy. Hr. Taaffe pragnął mieć obok siebie reprezentanta lewicy „wygodnego“; na ten użytek wybrany został hr. G. Kuenburg, deputowany linecki. W parlamencie hr. Kuenburg mało występował; pracował jednak gorliwie w komisyach, zwłaszcza oceniającej projekt ustawy karnej. Człowiek miły i uprzejmy, jest idealnie „wygodnym“ ministrem.

Inna rzecz, czy dostojność „bez teki“ stanie się wygodną dla niego. Będzie on brał udział we wszystkich obradach lewicy i działał pod naciskiem uchwał partyi i woli

---

SPIRYTYSTKA.

Zmierzch zapadł już dawno. Marya, chodząc wzdłuż saloniku po miękkim dywanie, który tłumił jej kroki, wyczekiwała codziennych swoich gości, panów: Juliana, Teodora i Antoniego. Co chwila stawała przy oknie, aby wyjrzeć na ulicę i pełna zawodu z niechęcią następnie odwracała się od brudnych, zabłoconych trotoarów.

Deszcz padał ulewny. Szare smugi łączyły niebo z ziemią; wiatr pędził je od wschodu na zachód, ciskając część ich na szyby okien.

— Pewnie już nikt nie przyjdzie — pomyślała Marya, kończąc wędrówkę swą wzdłuż pokoju.

Czuła żal do przyjaciół, których odstraszyła ulewa. Nie wyobrażała sobie, jak spędzi długi wieczór jesienny sama, zupełnie sama. Zadzwoniwszy na służącego, kazała mu zapalić światło; przeszła następnie w głąb salonu i usiadła na miękkiej, nizkiej kanapce, postanawiając czytać.

Na okrągłym, niewielkim stoliku tuż przed nią leżała książka, po którą wyciągnęła rękę.

Tytuł jej brzmiał:

„Spirytyzm w świetle badań najnowszych.“

Parę godzin temu przyniesiono ją z poczty.

Edmund, malarz, który przed rokiem tak samo, jak teraz Teodor, Julian i Antoni, należał do codziennych jej gości, bawiąc obecnie w Paryżu, przysłał jej pracę przyjaciela swego z prośbą, aby przeczytała ją w chwilach samotności i z dobrą wolą, bez sceptycznej ironii, z jaką pozytywiści witają każdy przejaw myśli sprzecznych obozów.

Edmund oddawna był spirytystą. Teorya jego, wzmocniona tchnieniem mistycyzmu, jaki wiał z kilku salonów i budnarów paryskich, wśród których obracał się, przeszła w gorący prozelityzm. Serdecznemi słowy, pełnemi ufności w apostolstwo swoje, namawiał Maryę, aby stanęła pod jego sztandarem.

„Wiara w coś, co istnieje po za sferą zmysłów naszych, w coś, co pochwycić, nazwać i określić nam trudno, a co jednak ma prawo bytu za sobą, wywyższa człowieka, odrywając go od szarej powszedniości życia“ — pisał.

Następowało potem wyliczenie świetnych wyników, jakie szereg posiedzeń spirytystycznych przyniósł w ostatnich czasach jemu i kilku jego przyjaciołom.

„Trzeba tylko oddać się nowej wierze z ufnością i pewnem zaślepieniem“ — pisał.

„Najlżejszy cień zwątpienia odbiera siłę prądom myśli, które pragną obcować ze światem, dotąd nieznanym.“

„Jeżeli namowy moje — ciągnął dalej — skłonią panią do pierwszej próby ćwiczeń spirytystycznych, proszę oddać im się z serdecznem, ciepłem uczuciem dla owych istot nadprzyrodzonych, które zechcesz zwabić do siebie. Duchy, roztopione w atomach powietrza, żyją i myślą tak, jak my, wznioślej, doskonalej od nas. Głos ich powinien prowadzić nas w krainę jasności i bezwzględnego dobra.“

List Edmunda przyszedł w chwili, w której Marya, jak zwykle, zaczęła oczekiwać codziennych swych gości.

— Będziemy mieli dziś o czem mówić — pomyślała, rozcinając kartki niewielkiego, rysunkami wywoływanych duchów ozdobionego tomiku.

Cieszyła się z góry tematem wieczornej gawędy z przyjaciołmi. Lekka ironia drgała w kącikach jej ust podczas czytania listu i przeglądania książki.

W jasnym, ciepłym, grupami nizkich miękkich kanapek zastawionym jej saloniku odbywały się zwykle długie rozprawy. Antoni — filozof, Teodor — doktór, Julian — przyrodnik, schodząc się u niej wieczorami, poruszali najżywotniejsze zagadnienia wiedzy. Ona słuchała ich pilnie i kierowała poniekąd formą pogawędki. Umiała zawsze w porę rzucić sceptyczny dowcip, podtrzymujący ruch dysputy i jej ożywienie; nie dopuszczała sprzeczek nigdy do martwego punktu, to jest do chwili, w której przeciwnicy z uporem i zaciętością zaczynają obstawać przy raz wypowiedzianych argumentach, nie szukając już nowych dla obrony tez swoich, wirując w błędnem

jej przewódcy; tymczasem w gabinecie nie znajdzie on ani jednego sprzymierzeńca, natomiast całą falangę przedstawicieli dawnej prawicy. Stronnictwo jego nie łudzi się bynajmniej nadzieją, że hr. Kuenburg na nowem stanowisku odniesie tryumfy, przewiduje ono nawet starcia i konieczność powołania Plenera.

Prezydent gabinetu węgierskiego, po całorocznej kampanii parlamentarnej, pełnej dlań goryczy i niepowodzeń, widział się zmuszonym użyć ostatecznego środka: rozwiązania parlamentu. Wywołało to trzygodzinną zażartą dyskusyę, w której jeszcze raz powtórzyło się wszystko to, co hr. Szaparego zmusiło do rozwiązania Izby. Opozycya jednak nie traci bynajmniej odwagi.

S-z.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Gdyby Prusy i Niemcy były państwem ściśle konstytucyjnem, konserwatyści, tj. przedstawiciele t. z. „junkierstwa“ zajmowaliby szary koniec rządowego stołu. W parlamencie bowiem stanowią oni trzecie z rzędu stronnictwo pod względem liczby, a nie tworzą z innemi żadnej stałej większości. Odpowiednio więc powinniby w sejmie posiadać jednego wiceprezydenta, a w rządzie jednego lub dwu ministrów. Tymczasem tu i tam piastują najwyższe godności i dopiero od niedawna tekę finansów otrzymał narodowo-liberał Miquel. Przy stanowieniu nowych praw zawsze rząd uwzględnia ich interesy przed innymi nawet z wyraźną krzywdą. Tak np. cła zbożowe zatrzymane zostały tylko dla nich. Pomimo to wszystko ci panowie są jeszcze niezadowoleni i postanowili wytworzyć opozycyę, do której ich zachęcił Bismark.

Dziwny rys umysłu Wilhelma II odsłonił się w dniach ostatnich: mianowicie wydany został zbiór kazań religijnych, które on miewał do załogi i orszaku na okręcie podczas podróży morskiej. Dotąd nie odmówiono wiarogodności tym charakterystycznym dokumentom, więc muszą być prawdziwe. O ile z poznanych prób wnosić można, kazania te nie odznaczają się ani formą, ani treścią i są bardzo pospolitymi morałami.

Dyplomacya angielska straciła jednego ze swych tuzów: w Berlinie zmarł na influenzę ambasador White w przejeździe z Konstantynopola. Karyerę swoją rozpoczął od konsulatu w Szczecinie, potem reprezentował Anglię w Bukareszcie, a ostatnio w Stambule, gdzie uchodził za nadzwyczaj zręcznego dyplomatę. Przepowiadano mu jeszcze wyższe stanowisko, niespodziewana jednak śmierć przekreśliła nadzieje i rachuby.

Sprawa zatargu między Bułgaryą a Francyą o wydalenie reportera Agencyi Havasa, Chadourne'a, jeszcze nie doczekała się ostatecznego rozwiązania. Ambasador francuski w Konstantynopolu wystąpił ze skargą do w. wezyra, który wyraził ubolewanie, że Porta nie została powiadomiona przed spełnieniem faktu, któremu starałaby się zapobiedz. Żadnych energicznych kroków nie przyrzekła.

Bułgarya otrzymała inny pozew — ze strony Grecyi za samowolne wprowadzenie języka bułgarskiego do szkół w Rumelii Wschodniej. I ta sprawa musi zawadzić o Konstantynopol, gdzie również bojaźliwy i unikający wszelkich rozdrażnień rząd sułtański będzie usiłował naprzód ją ułagodzić, potem przewlec, a wreszcie pogrzebać.

W miejscu nieustalonych stosunków, nieoznaczonych granic, niegaszonych nigdy zatargów i nieistniejących ognisk kultury — trudno o wiadomości szybkie i dokładne. Chociaż więc nadchodzą telegramy, dotyczące rozruchów w Albanii, nie podobna określić ich rozległości i siły. Według ostatnich doniesień, Porta wysłała wojska, które mają stłumić bunt i przywrócić porządek, co może być prawdą, ale na kilka tygodni lub miesięcy.

Rząd chiński upewnia, że już uśmierzył powstanie, ukarawszy winnych śmiercią. I temu także można wierzyć na krótki przeciąg czasu.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Zmiany w służbie. Prezesem sądu okręgowego w Piotrkowie mianowany został członek Izby sądowej warszawskiej rz. r. st. p. Potułow. Sędzia śledczy tegoż sądu na powiat rawski, p. Uziembło, został uwolniony od służby z powodu choroby i na własne żądanie. Chwilowo obowiązki sędziego śledczego w Rawie pełni kandydat do posad sądowych przy sądzie okr. piotrkowskim, p. Józef Jackowski. Umarł sędzia śledczy powiatu będzińskiego, Chłopow. Do czasowego pełnienia tego obowiązku w Będzinie wydelegowano kandydata do posad sądowych przy sądzie okr. piotrkowskim, p. Tomasza Dębskiego.

SPRAWY EKONOMICZNE.

KREDYT KRÓTKOTERMINOWY
dla Królestwa Polskiego.

Poważny i wpływowy głos p. Blocha, który on zabrał niedawno w sprawie kredytu melioracyjnego dla Królestwa Polskiego oraz odłużenia ziemi u nas *), znalazł echo w petersburskiem Towarzystwie wolnoekonomicznem—pod postacią odczytanego w niem referatu p. Deliulina p. n. „O udzielaniu rolnikom w Królestwie Polskiem pożyczek krótkoterminowych z kas powiatowych.“ Potrzebę takiego kredytu referent uzasadnia mniej więcej w ten sam sposób, co i p. Bloch, który nawołuje do niesienia ratunku rolnictwu. Własność ziemska, jej położenie gospodarcze pogorsza się w guberniach zachodnich (szczególnie zaś w Królestwie) z każdym rokiem, pomimo wysokiej kultury roli: gospodarstwa upadają, wartość majątków — zniża się. Do najgłówniejszych przyczyn, które wywołały przesilenie rolnicze, należą: brak zbytu i taniego kredytu rolnego. Towarzystwo kredytowe ziemskie bowiem, działając w myśl obowiązującej je ustawy, nie może zaspokoić potrzeb właścicieli ziemskich, zwłaszcza zaś pod względem kredytu krótkoterminowego. Tymczasem kredyt ten jest niezbędny. Trzecią przyczyną zastoju rolniczego, będącą zarazem koniecznem, pasorzytniczem dopełnieniem niedorozwoju ekonomicznego, są żydzi-przekupnie. Wyłącznie prawie rolniczy system gospodarstw wiejskich, pociągający za sobą znaczny nakład na utrzymanie i powię-

*) Postaramy się wkrótce ciekawe dane tego gruntownego znawcy finansów prywatnych i publicznych zużytkować w obszerniejszym artykule.

---

koło jednych i tych samych zdań, jednych i tych samych giestów, wyrazów, myśli.

Przywykła tak dalece do długich tych narad wieczornych, iż życie bez nich wydawało się jej dziwnie puste, pozbawione treści.

Dziś — pierwszy raz oddawna miała spędzić wieczór sama.

Żal i niechęć do przyjaciół, których trochę deszczu zatrzymało w domu, rosły z każdą chwilą.

— Bali się niepogody dla parasoli i kaloszy swoich — myślała, wzruszając ramionami.

Jan zapalił światło. Płomień lampy wiszącej o wielkiej żółtej bani rzucił snop mdłego blasku na gipsaturę sufitu, na blado niebieską tapetę ściany, na niskie żółte kanapki i fotele, na ekran kominka, na barczystą marmurową postać Thorwaldsenowskiego Herkulesa, bielejącą z za grupy palm i filodendronów, tworzących rodzaj klombu pośrodku salonu. W jednym z jego rogów, zahaczona o mosiężne kółko klatki, przykrytej muślinem o chińskim deseniu, drzemała papuga. Biała kotka angora przeciągała się na wielkim perskim dywanie, którego tło majaczyło w świetle żółtej lampy symfonią barw przyćmionych.

Cicho było w pokoju. Zegar o kształcie weneckiej gondoli, ustawionej na hebanowej półce, wydzwonił dziewiątą.

Stanowczo nikt tym razem przyjść już nie mógł.

Zapaliwszy świecę i postawiwszy ją niedaleko siebie na małym stoliku, Marya wsunęła się w głąb kanapki i zaczęła czytać książkę, którą przysłał jej Edmund.

Wzrok jej biegł szybko od wiersza do wiersza. Przerzucała kartki jedne po drugich z gorączkową niecierpliwością, jak gdyby chciała dobiedz prędzej do ostatniej.

Zatopiona w czytaniu, nie słyszała służącego, który wszedł z filiżanką herbaty i postawił ją na stoliku, przed nią.

Parę godzin minęło, zanim, uczuwszy lekkie zmęczenie powiek, złożyła książkę.

Deszcz padał, jak przedtem, strumieniami głośnej ulewy. Wicher, kołacząc do okien, wywoływał huk podobny do stukania czyjejś ręki upartej.

Odsunąwszy na bok książkę, narzuciwszy na siebie szal ciepły, pijąc zwolna herbatę, Marya myślała nad treścią przeczytanego dzieła.

Szereg niewyraźnych, blado lub wcale jeszcze niesformułowanych wątpliwości budził się w jej umyśle. Dotąd w tym stopniu nie doznawała ich nigdy.

Zdawało się jej, że ma swój odrębny system wyrobionych z biegiem czasu przekonań filozoficznych, którego nic już poruszyć i nic zachwiać nie zdoła.

— To, co widzę, czego dotykam, dźwięki, które słuch mój chwyta, wrażenia, jakiemi podzielić się mogę z tymi, co odbierają je na równi ze mną, to wszystko istnieje niezaprzeczalnie, niezbicie — mówiła w chwilach, gdy poruszano przy niej zagadnienie bytu.

— Czy jest co po za tem? — dodawała— tego nikt nie wie i nikt chyba nigdy dowieść nie będzie w stanie...

Wykształcenie jej było niesystematyczne. W pojęciach swych, pojęciach samouka, miała luki, które wypełnić było trudno. Czasami czuła je wyraźnie; niekiedy zapominała o nich.

Czytała bardzo wiele, lecz czytała bez planu, w miarę kapryśnych upodobań swoich i zmiennych rzutów woli. Niejednokrotnie postanawiała zasięgnąć wskazówek u przyjaciół swoich: lata jednak mijały, a ona nie miała czasu zapytać o nie, naradzić się z nimi nad treścią samokształcenia swego.

Wieczory schodziły tak szybko; tematów do rozmowy było zawsze tak wiele!

Dziś — pierwszy raz znalazła chwilę, w której mogła oddać się samotnym głębszym rozmyślaniom.

Skończywszy czytanie, pytała sama siebie:

— Czy rzeczywiście wierzyć należy w to tylko, co wzrok, słuch nasz, czucie nasze jako wrażenia świata zewnętrznego nam przynoszą? Dlaczegożby to „ja,“ które w nas pracuje, nie miało być istotą najzupełniej samodzielną, związaną chwilowem tylko trwaniem ze skorupą ciała; dlaczegoby ono nie miało być duchem, a jeżeli nim jest, dlaczegoby, jak chcą spirytyści, całe szeregi

kszenie inwentarza, wobec braku kapitałów i niemożności otrzymania taniego kredytu spowodował odłużenie ziemi. Rolnik, usiłując wybrnąć z ciężkiego położenia, ucieka się do trzebienia pozostałej resztki lasów, będących jedynem częstokroć źródłem dochodu, albo nawet jedynem ocaleniem bytu. Ale środek ten, jako doraźny, nie mógł wpłynąć na rdzenną poprawę stosunków. Dawniej b. Bank polski udzielał ziemianom na ulepszenia gospodarcze kredytu 6-miesięcznego, który, jakkolwiek połączony z wielu niedogodnościami (np. krótkoterminowością), był wszakże niejaką pomocą. Z chwilą zniesienia operacyj tego banku rolnicy utracili ostatni kredyt prawidłowy i publiczny. Został im więc tylko prywatny.

Z usługą pospieszyli niemcy i żydzi. Ale po wyjściu prawa, wzbraniającego cudzoziemcom nabywania nieruchomości po za obrębem osad miejskich — rola prywatnych wierzycieli przypadła wyłącznie żydom. Byli oni pozornie skłonniejsi do ustępstw i mniej natarczywi od niemców, którzy w razie chybienia terminu wystawiali dobra na sprzedaż i najczęściej sami je nabywali. Żydzi zaś czynili dłużnikom różne ustępstwa: bądź doliczali odsetki do kapitału, bądź zgadzali się na wypłacanie ich w ziarnie. Wogóle niechętnie nabywali oni majątki, zaczęli zaś je kupować na szerszą skalę dopiero z chwilą wydania w r. 1882 przepisów tymczasowych o ograniczeniu żydów, rachując sobie w ten sposób, że w razie rozciągnięcia rzeczonych przepisów na Królestwo, byleby posiedli raz ziemię, unikną wstecznego działania prawa.

Położenie rolników było jako tako znośne, dopóki Prusy nie obłożyły cłem tutejszego zboża: ciężar był mniej dotkliwy, następstwa kosztownego kredytu — mniej widoczne. Odsetki, pobierane zwykle przez niemców od pożyczek, umieszczanych na drugim numerze hypotecznym, wynosiły 10—12, ściągane zaś przez żydów— 15—18. Od pożyczek zaś, spoczywających na dalszych numerach, jako dających mniejszą rękojmię, żydzi kazali sobie płacić 24%, a niemcy, o ile suma długów przewyższała połowę szacunku — odmawiali zupełnie kredytu.

Nadto, po zamknięciu granicy, ujawniła się jeszcze inna dolegliwość. Ziemianie zmuszeni byli szukać kupców na zboże — w kraju. W zakresie zaś wymiany wewnętrznej panuje najzupełniejszy bezład, mający swoje źródło w niedorozwoju tego rodzaju stosunków gospodarczych. Kwitnie pasorzytnicze pośrednictwo przekupniów. I znowu z usługą wystąpili miejscowi handlarze żydowscy, którzy brak prawidłowo zorganizowanego handlu zbożowego zastępują luźnemi operacyami kupieckiemi. Oto jak one wyglądają w obrazie p. Deliulina: „Każdy żyd posiada własny okręg i objeżdża go, ofiarując zaliczki, trzy w ciągu roku, a mianowicie w marcu, lipcu i w końcu września, tj. w tej porze, w której rolnik odczuwa największą potrzebę pieniędzy na wypłaty; procent, pobierany od tych zaliczek, sięga zazwyczaj do 10% rocznie. Przy zadatku nie ma żadnej wzmianki o cenie zboża, oznacza się ją dopiero w sierpniu lub wrześniu po zawarciu ostatecznej umowy. Gdyby rolnik nie chciał korzystać z usług takiego handlarza, nietylko nie sprzedałby zboża wyżej od ceny ofiarowanej przez tego ostatniego, ale co więcej, mógłby nie znaleźć wcale kupca, albo w najlepszym razie otrzymać ofertę znacznie niższą od pierwotnej. W rezultacie zboże nabywa ten kupiec, który zgłosił się pierwszy i w dodatku płaci nieraz cenę niższą od pierwotnej. Warunki takie nie przyczyniają się chyba do rozwoju rolnictwa miejscowego.“

Jakiż na to wszystko środek?

Pan Deliulin zaleca dwa: elewatory zbożowe i *rozszerzenie operacyj kas powiatowych*. Oba łącznie zapewnić mogą rolnikom kredyt krótkoterminowy i położyć kres uciążliwemu pośrednictwu przekupniów i lichwiarzy, tamujących ze szkodą gospodarstwa rolnego handel zbożowy i prawidłowe dostarczanie kapitałów obrotowych. Co do elewatorów, to Królestwo Polskie dostarcza odpowiednich warunków. Zajmuje ono obszar 112½ tysięcy wiorst kwadratowych, posiada, obok wszystkich trzech rodzajów dróg bitych, prawie dwa tysiące wiorst sieci kolejowej. Najdalsza odległość u nas od linii kolei żelaznej wynosi 70 wiorst. Wobec takiego stanu komunikacyi urządzenie elewatorów nie nasuwa żadnych trudności, gdyż na dostawę ładunku potrzeba najwyżej jednego dnia czasu. Właściciele ziemscy mieliby z elewatorów nieobliczone korzyści, gdyż one za pomocą warantów, tj. zaliczeń na zboże, regulowałyby ceny, będące obecnie igraszką spekulacyi lub zmowy przekupniów. Ale z drugiej strony, pomimo swej użyteczności pod jednym względem, niewolne są one od niedogodności pod innym, gdyż, udzielając rolnikowi pożyczki wyłącznie na wytwór gotowy, nie wpływają zgoła na przeróbkę tego wytworu — nie docierają zatem do głównego celu: dostarczenia taniego kredytu krótko-terminowego.

Tej roli podjąć się winny kasy powiatowe. Zachodzi tylko pytanie, o ile te instytucye byłyby kompetentne w orzekaniu o wypłacalności dłużnika przyszłego i o bezpieczeństwie udzielanych pożyczek. Pytanie to wszakże rozwiązuje projektodawca łatwo — za pomocą istniejącego u nas systemu hypotecznego. Artykuły 40 i 41 ustawy zastawniczej z r. 1818 przewidują t. zw. „długi uprzywilejowane,“ to jest, sumy, którym przysługuje prawo pierwszeństwa wobec innych ciężarów hypotecznych majątku. Do nich należą: wszystkie podatki rządowe i dwuletnie zaległości gminne, miejskie, gubernialne, następnie składki asekuracyjne itp. opłaty. Pożyczkom więc bankowym przysługuje to samo prawo. Księga hypoteczna każdego majątku powiadamia dokładnie nietylko o wszystkich, długach na nim ciążących, ale i o rzeczowej jego wartości. Określenie przeto skali wypłacalności posiadacza ziemskiego nie jest rzeczą trudną.

Co zaś do powiększenia zasobów pieniężnych w kasach powiatowych, to także nie będzie szkopułu. Kasy te bowiem, w razie wyczerpania kredytu w danej pozycyi, uskuteczniają dalsze wypłaty, a nawet dopełniają pierwotną sumę z pieniędzy, przeznaczonych na inną pozycyę budżetu. Gdyby zaś te fundusze nie wystarczyły, to sięgnąć można po pieniądze kas oszczędności i sum, będących na rachunku bieżącym. Obracając tymi zasobami, kasy powiatowe otrzymają czysty zysk, który pokryć może z przewyżką wydatki na niezbędne powiększenie etatu urzędników. Zresztą odpowiednio zastrzeżenie uczyniono w księdze hypotecznej da wszelką rękojmię zwrotu pożyczki.

Do oznaczenia skali, do jakiej pożyczka udzielana być może, posłużą dane księgi hypotecznej i będą najzupełniej wystarczającym dowodem i wskazówką dla inspek-

---

istot, wyswobodzonych z powłoki krwi i mięśni, nie miały błądzić w przestrzeni?

— Żongler ciągłem ćwiczeniem do doskonałości doprowadza zmysł, który my w słabym zaledwie stopniu posiadamy rozwoju; magik i akrobata dowodami zręczności i siły każą przypuszczać niejednokrotnie potęgę czarów: dlaczegóżby ktoś, co silnym rzutem woli i skupieniem całej swej istoty usiłuje zbadać świat, którego my nie znamy; dlaczegoby ten ktoś nie miał osiągnąć cząstkowego chociażby wyniku trudów swoich?

Lekka ironia drgała podczas tych rozmyślań na wargach jej i w błyskach źrenic. Potrząsała głową, jak gdyby sama twierdzeniom, a raczej przypuszczeniom swoim rzucała krótkie, szybko rozstrzygające „nie.“ Śmiała się sama do siebie, rzucając wzrokiem na zawoalowaną postać widma, wyrytą na okładce książki.

Kilka długich chwil zeszło jej na naradzie samej ze sobą, kilka chwil, w ciągu których ironia i uśmiech schodziły z ust jej powoli.

Zawierucha szalała coraz silniejsza; wicher wył i jęczał żałośnie; deszcz czasami tak gwałtownym pędem uderzał o szyby okien, że te, brzęcząc, zdawały się wydawać okrzyk przerażenia.

— Nie położę się w tej chwili; będę czuwała, dopóki burza nie przejdzie — myślała Marya.

Zegar wydzwonił dwunastą, gdy zerwała się nagle.

Oczy jej błyszczały. Twarz zdradzała silne, gorączkowo powzięte postanowienie.

Szybko, jedne po drugich, zaczęła zestawiać ze stolika graciki, którymi był zarzucony.

Ironia zniknęła z ust jej zupełnie: zacisnąwszy wargi, kręciła się po pokoju, szukając kilku potrzebnych jej w tej chwili przedmiotów.

Stolik już został ogołocony z chińskich figurek, z wazonów i wachlarzy, jakie stały na nim. Marya przysunęła go bliżej do kanapki, na której usiadła.

Położywszy przed sobą arkusz papieru, wziąwszy w rękę ołówek, postanowiła czekać wśród głuchej nocnej ciszy, aż który z duchów, błądzących w przestrzeni, podyktuje jej słowo lub znak jakiś, zdradzający blizkość i byt jego.

Miała to być pierwsza próba posiedzenia spirytystycznego, do którego tak bardzo ją nakłaniał Edmund, a które na złość trzem przyjaciołom swoim — pozytywistom, pragnęła dokonać z powodzeniem.

Promień lampy, palącej się od kilku godzin, zaczął drgać wolniej i słabiej. Tajemnicze cienie zaległy stopniowo wnętrze pokoju. Bielały w nich tylko, nakształt plam ruchomych, kotka — angora, śpiąca na dywanie, barczysta postać Herkulesa o ramieniu, wyciągniętem nad wachlarzem palmy najwyższej. Łagodne, miękkie tony zmroku tuliły do snu główki azalii, hiacyntów i chryzantemów, wychylające się z głębi chińskich wazonów, rozstawionych po rogach.

W oczach Maryi przebijało trochę trwogi, a jednocześnie zaciśnięte jej wargi i brwi, mocno zmarszczone, zdradzały akt woli niezłomnej.

Według wskazówek, podanych w książce i w liście Edmunda, miała uśpić w sobie wszelki ruch myślenia, a siłę i pracę skupionej wyobraźni skierować tylko na wezwanie ducha.

Utkwiwszy wzrok w papier, nie oglądała się za siebie, nie dostrzegała nawet ciemniejącego zwolna światła lampy, nie widziała, jak kotka, obudziwszy się, wolno, na miękich swych łapach podeszła ku niej i oparła biały swój łebek o fałdy jej szlafroczka.

Po pewnej chwili oczy jej, w biały punkt wpatrzone, zaczęły doznawać znużenia: czerwone i zielone plamy migały pod powiekami jej szybko.

Zegar wydzwonił pierwszą, kiedy już nic przed sobą dostrzedz nie była w stanie; ręka z ołówkiem zaczęła drżeć silnie, kreśląc na papierze niewyraźne zygzaki.

Opanował ją nagły przestrach. Chciała wstać, rzucić ołówek, odsunąć stolik z hałasem i przejść do sypialni: jednocześnie akt woli, tak silnie naprężonej, przykuwał ją do miejsca.

Smuga ostatnich płomyków gasnącego światła, odbita w lustrze, pod którem siedziała Marya, drgała na papierze, jak coś

tora podatkowego, który ma ciągłą styczność ze wszystkiemi warstwami ludności i wiarogodne dane co do obszaru poszczególnych majątków i rodzaju ich gleby.

Ostateczne więc wnioski p. Deliulina w streszczeniu brzmią w następujący sposób: Upoważnić kasy powiatowe do udzielania właścicielom ziemskim w guberniach zachodnich — pożyczek sześciomiesięcznych na sola-weksle z zastrzeżeniem w hypotece, opiewającym na całą sumę udzielonego kredytu; pozwolić towarzystwom dróg żelaznych na budowę elewatorów kolejowych.

Projekt ten wywołał w Towarzystwie wolno - ekonomicznem żywe rozprawy a przez p. Łamańskiego, b. dyrektora Banku państwa, prezesa sekcyi Towarzystwa, uznany został za myśl trafną i zupełnie godną poparcia.

Zyg. Piet.

PRZEMYSŁ I HANDEL.

Kopalnie. Donoszą z Dąbrowy, że wypuszczono w dzierżawę 60-letnią kopalnie galmanu, węgla kamiennego i huty cynkowe, od dnia 21-go grudnia są już oddawane przez zarząd górniczy w osobie p. Choroszewskiego dzierżawcom pp.: Derviz i Szewcow. Dyrektorem głównym zakładów i kopalń pozostaje inżenier Skibiński, zarządzającym kopalniami galmanu b. zawiadowca tychże kopalń inżenier Albrecht, zarządzającym zaś hutami cynkowemi b. zawiadowca hut inżenier Rogalewicz. Co zaś do kopalń węgla kamiennego, zarząd ich sformowany być ma z wiosną. W tymże czasie rozpocznie się ich eksploatacya. Przebudowa hut cynkowych według ostatnich wymagań techniki również podjętą będzie na wiosnę.

Rybołóstwo. Jedno z pierwszych gospodarstw rybnych w kraju, w Rykach i Garbowie, należące do hr. Aleksandra Jezierskiego, zbudowało przed pół rokiem fabrykę do przerabiania mięsa suszonego na pokarm dla ryb. Urządzona przez miejscowe siły techniczne, przerabia ona dziennie 7 do 10 sztuk (przeważnie koniny). Ponieważ ten sposób karmienia ryb daje możność przejścia na dwuletnie połowy, które wagą i dobrocią okazów wyrównywają trzyletnim, przeto hr. J. powiększa suszarnię tak, żeby mogła przerobić do 20 sztuk koni dziennie.

Z rynku.

Wpływ nieurodzaju gubernij środkowych — według zapewnień *Dz. łódz.* — już daje się we znaki produkcyi łódzkiej, a to w ten sposób, że tamuje jej zbyt. Prowincye, dotknięte obecnie klęską, zaludnione są odbiorcami towarów łódzkich, tymczasem głód, srożący się nad Wołgą i Kamą, bardzo paraliżuje tam ruch handlowy. „Nabywcy, cieszący się kredytem i zaufaniem, wstrzymują się z zamówieniami do sezonu letniego, wyczekując rezultatów targu w styczniu i lutym r. p. Odbiorcom zaś mniejszym fabrykanci zupełnie znów odmawiają kredytu. Tym sposobem niezadawalające obroty handlowe pociągają za sobą niepunktualność w wypłatach i częste protesty z Cesarstwa stały się skutkiem tego w ostatnich czasach w Łodzi zjawiskiem wcale nierzadkiem. Rozesłani przed sześciu tygodniami komiwojażerowie otrzymują bardzo skąpe zamówienia, po większej części dwa razy mniejsze, niż w r. z.“ Śmiało więc twierdzi organ p. Scheiblera i sp., że bieżący rok będzie dla Łodzi jednym z gorszych i spodziewa się, że nawet przy najpomyślniejszych warunkach wytwórczość tamecznych fabryk będzie przynajmniej o 20% mniejsza, niż w roku zeszłym. Ważną przeszkodą handlu łódzkiego jest także od pewnego czasu trudne położenie miejscowego rynku pieniężnego i nizki kurs waluty ruskiej. Z tego powodu materyał surowy drożeje. Skutkiem powszechnego niedowierzania i braku ufności do stosunków kupieckich, ciągle daje się uczuwać w Łodzi brak gotówki, i to w takiej mierze, iż prywatne dyskonto kupieckie doszło do 8%, a nawet 10% — stopy w ostatnich latach niesłychanej. Jednakże, przyznaje toż samo pismo, że łódzki przemysł bawełniany „stanowczo góruje“ materyalnym zyskiem zamkniętego sezonu zimowego ponad wszystkiemi innemi gałęziami produkcyi miejscowej. Wyszedł on „obronną ręką z niebezpiecznych wirów handlowych r. 1891. Stało się zaś to dzięki wyczerpaniu na rynkach ruskich dawnych zapasów wyrobów tanich, na które skutkiem nieurodzaju, był znaczny, ale też i jedyny popyt. Fabryki towarów bawełnianych rozpoczęły już wyrób letnich, nie zaniedbując przy sposobności przygotowania na zapas bardzo tanich zimowych.

Rynek zbożowy w Warszawie (plac Witkowskiego) w d. 29 grudnia: Pszenicy ofiarowywano 600 korcy, popyt był słabszy, ceny niższe. Za wyborową płacono po 8,70—8,80 za korzec; za białą — 8,40 do 8,60, gorszą pstrą wcale się nie zajmowano. Podaż żyta wyrażała się 200 korcami; przy dosyć mocnym popycie płacono za wyborowe 7,80, średniego gatunku wcale nie było. Dowóz owsa wynosił 300 korcy i przy usposobieniu niezmienionem płacono 3 rs. do 3,50, stosownie do gatunku. Siana pud sprzedawano po 35 do 40 kop., słomy — 30 do 35.

Sprawozdanie z ruchu zbożowego tranzytowego w Warszawie z d. 28 grudnia wykazuje, iż wszelkich towarów produkcyi rolnej znajdowało się w składach przewozowych przy stacyi Praga (kolej Teresp.) ogółem 824 wagonów, wyprawiono zaś (kaszy jaglanej) tylko 1 wagon.

Gazeta losowań zaś powiadamia, że od 18 do 26 grudnia r. z. ruch w handlu zbożowym, zwłaszcza pszenicy, przy znacznej dostawie, był ożywiony, ceny zaś trzymały się mocno. Za wyborową płacono 8.80 do 9 rs., za białą 8,55—8,70, za pstrą 8,15. Żyta dowieziono mało, popyt ograniczał się tylko do gatunków średnich, za które płacono 7,50—7,80. Owies po 3,10—3,60. Za rafinadą cukrową uganiano się słabo i w większej ilości nie kupowano jej wcale; za to gorące były zaloty do mączki cienko i grubo-kryształowej. To też wywieziono jej znaczną ilość i w ciągu kilku miesięcy była ona przedmiotem wyścigów kupieckich. Mąka w tygodniu przedświątecznym miała spotęgowaną konsumcyę, ale to na jej cenę (zwłaszcza pszennej) nie wpłynęło — była ona stale niezmienna. Przesilenie wymiany nie wycisnęło na niej złowrogiego piętna dlatego, że podobno ogromny był jej dowóz. Mąka żytnia straciła 50—100 kop. (?). Węgiel kamienny „stał mocno“ — na karku spożywcy. Wywóz jego do Rosyi był znaczny, za wagon na miejscu w kopalni żądano 50 — 55 rs. W Warszawie ceny tego paliwa w handlu hurtowym były niezmienne. Za to w sprzedaży cząstkowej, ożywionej skutkiem mrozów, płacono za korzec sześciopudowy 95 k., czyli za pud prawie 16 kop.

Rynek zbożowy na prowincyi d. 23 grudnia: W Noworadomsku płacono: za korzec żyta 8,00, pszenicy średniej 8,50, wybornej 9,00, jęczmienia 5,00—5,50, owsa 2,70—3,00, tatarki 5—6,00. Ceny mąki i kaszy były bez zmiany. Ryż zdrożał od 8—13 kop. na funcie. Za funt chleba pytlowego brano $4\frac{1}{2}$ k., razowego $3\frac{1}{2}$, bułek — 7. Ceny kartofli i wszelkich ogrodowizn pozostawały bez zmiany. Wieprz karmny 30—36 rs., chudziec 12—18. Nabiału i jaj dowieziono obficie, ceny więc były umiarkowane. Za to nafta zdrożała (34 kop. garniec). Sól 50—60 k. pud; cukier 13 k. funt.

W Szydłowcu płacono: za korzec żyta 7,50—7,80, pszenicy 8 rs., jęczmienia 5 — 5,40, owsa 3, tatarki 6,50—7, kartofli 2,50—2,80. Pud mąki żytniej zwyczajnej 2,80, pszennej 3. Funt wieprzowiny 12 kop., wołowiny 10, cielęciny $3\frac{1}{2}$, chleba razowego $3\frac{1}{2}$, pytlowego 5 k. Kwarta masła 60 kop. Wiązka słomy 30 k., centnar siana 45—50. Zestawiając ze sobą ceny bieżące tych dwóch miejscowości, widzimy dość dziwne zjawisko, że chociaż w pierwszej z nich (Noworadomsku) korzec żyta wynosi 8 rs., a w drugiej (Szydłowcu) tylko 7, 80, to jednak tam funt chleba jest tańszy o grosz, niż tutaj.

żywego, coś ruchomego, coś, co może zwiastować bliskość ducha...

Marya zaczęła drżeć całem ciałem. Głowa jej zwisła na piersi. Zamknęła powieki; w uszach uczuła silne dzwonienie...

Przygryzłszy wargi, postanowiła czekać: nie zdejmowała ręki ze stołu...

Deszcz z gwałtownej ulewy przeszedł w łagodne i powolne mżenie. Wicher przestał jęczeć. Mgła ciężka, dusząca zaległa powietrze i zdawała się przedostawać przez szyby szczelnie zamkniętych okien do wnętrza saloniku, w którym światło żółtej lampy zgasło przed chwilą.

Marya uspokoiła się nagle; trwoga jej minęła; natomiast w całej swej istocie uczuła bierne ociężenie.

Sen kleił zwolna jej powieki. Drzemiące już w połowicznych halucynacyach myśli rzucały na mózg jej luźne, dziwaczne poplątane obrazy, stanowiące echo odbieranych niegdyś, a zatajonych w stanie czuwania wrażeń.

Gasnąca świadomość mówiła: „masz pisać!“ — jednocześnie pamięć rozbiegała się szeregiem majaków.

Jeden z nich zawisł silniej i dłużej. Pod wpływem ostatniego napięcia woli Marya pisała sztywnymi, snem ubezwładnionymi palcami słowa, które dyktowały jej resztki wyobrażeń, niknących nakształt chińskich cieni...

Świtało. Mgła rozpłynęła się w powietrzu. Cichy, pogodny ranek jesienny drgał uśmiechem na skrajach horyzontu. Po nocnej ulewie niebo, blaskiem perłowym migocące, kłębami białych obłoków, niby wełną baranka usłane, zapowiadało różowy wschód słońca.

Na ulicach budził się ruch zadrzemany. Otwierano rygle sklepików. Podnoszono zasłony w mieszkaniach nizkich parterowych domów, gdzie robotnicy, zbudzeni ze snu, mieli dążyć do pracy.

Marya podniosła głowę, opartą przez kilka godzin na obu rękach, które jej zdrętwiały.

Pochylona nad stolikiem, spała mocno. Ból mięśni, trzymanych w nierównem wygięciu, obudził ją.

Otworzyła powieki, przeciągając się zwolna.

Dziwiło ją perłowo-szare świtanie; nie rozumiała, co się z nią działo, gdzie była, dlaczego nie spała w łóżku swojem, pod zwojami przezroczystych koronkowych kotar?

Blady koloryt wschodzącego ranka przybierał stopniowo sinawo-błękitną barwę przebudzenia. Kontury przedmiotów, rozstawionych w pokoju, odrzynały się słabo od tła ogólnego. Mdły, niewyraźny świetłocień zawisł w przestrzeni.

Papuga, czując dzień blizki, poruszała się niespokojnie na mosiężnem kółku klatki swojej. Kotka, przesunąwszy się z dywanu na kanapę, oparta łebkiem o kolana Maryi, elektryzowała ją ciepłem białej szerści swojej.

Marya, ziewając, przeciągnęła się po raz ostatni i wstała z kanapy, aby przejść do sypialni.

Kotka i papuga, rozbudzone szelestem jej sukni, odezwały się, jedna nizkiem miauczeniem, druga — powtórzonym kilkakrotnie, jak gdyby przez sen wyrazem, którego uczono ją dnia poprzedniego.

Marya oprzytomniała nagle. Treść minionego wieczoru zarysowała się w umyśle jej wyraźnie. Otworzywszy oczy szeroko, spojrzała na arkusz papieru, leżący przed nią. Ręce jej zadrżały. Na białej karcie czytała najwyraźniej:

„Janina Wiktorya Jasińska, zmarła w listopadzie, poleca pamięci duszę swoją.“

Kilka nieczytelnych zygzaków kończyło zdanie.

Co miały znaczyć te słowa? Co miało znaczyć nazwisko, którego nie znała, nie słyszała w życiu swojem nigdy?

Czyżby naprawdę duch, pokutujący wśród nocnej ciszy, odezwał się na niedołężne jej wezwanie?

Pąki różowych blasków zadrgały na widnokręgu, zwiastując wschód słońca.

Marya, zwiesiwszy głowę na poręcz kanapy, siedziała nieruchomie. Oczy jej, otwarte szeroko, goniły machinalnie grę bladych światełek, pełznących od strony okna po arabeskach dywanu.

Mózg jej pracował.

Tysiąckrotnie, z drobiazgową ścisłością usiłowała przypomnieć sobie każdy szczegół minionego wieczoru.

BADANIA NAUKOWE.

NOWA PRACA HERBERTA SPENCERA.

Ukazało się nowe dzieło Herberta Spencera, poświęcone rozwojowi sprawiedliwości *), Gdyby ktoś jeszcze wątpił co do właściwej istoty spencerowskiego liczenia się z faktami, ma obecnie przewyborną sposobność przekonania się, jak filozof angielski jest daleki od tej cnoty. Już teorya, że społeczeństwo jest organizmem, zdradzała w wysokim stopniu skłonność do brania z góry wysnutych ogólników za rzeczywistość. Może umysłom, które całą swoją wiedzę socyologiczną czerpią jedynie z „filozofujących" roztrząsań i zbioru „syntetycznych uogólnień," wspomniana doktryna wyda się niezwykle głęboką; lecz każdy poważniej wykształcony człowiek, który miał do czynienia z faktami surowymi i jeszcze nieuogólnionymi życia społecznego a nie jest skłonny do zacietrzewiania się pierwszym lepszym ogólnikiem, całą tę próbę będzie uważał za rodzaj słownika socyologiczno-biologicznego, nie posuwającego ani o krok naszej wiedzy o prawach, rządzących zjawiskami odpowiedniej dziedziny. Wprawdzie *Zasady socyologii* czynią na pozór złudzenie daleko dodatniejsze. Wszak wszystko tutaj opiera się na faktach! Niewielu jednak zada sobie pytanie, jakim sposobem zgromadzono te fakty, a tem mniej wie, że to czynili sekretarze, sam zaś filozof podawał już z góry wyznaczone rubryki. Olbrzymia ta praca czyni wrażenie tem znaczniejsze, że buduje całą przeszłość rodu ludzkiego zgodnie z zapatrywaniami, właściwemi „zdrowemu rozsądkowi" dzisiejszemu i w całej pełni pochlebia subjektywizmowi historycznemu tegoczesnej inteligencyi mieszczańskiej. Wszędzie jednak we wspomnianych próbach skreślenia praw rozwoju społecznego zachowano dość udatne pozory przedmiotowości naukowej. Tymczasem książka, świeżo ogłoszona, maskuje ów subjektywizm autora w sposób mniej szczęśliwy. Rozpatrując to, co należy nazwać „sprawiedliwem," wkracza ona w dziedzinę pojęć nawskroś podmiotowych. Badacz zdołałby się utrzymać jeszcze na gruncie bezstronnym, gdyby wykazywał jedynie, jak pojmowano sprawiedliwość w rozmaitych epokach dziejowych ludzkości; lecz filozof angielski postawił sobie szersze zadanie, 'mianowicie usiłuje on oznaczyć, na czem polega „bezwzględna sprawiedliwość" i co z tego punktu widzenia winno stanowić cel dążeń dla jednostek, obdarzonych uczuciem społecznem, i jaką powinna być rola państwa. Otóż ów ideał bezwzględny Spencer wyprowadza ze swego otoczenia. Marzenia tych odłamów społeczeństwa angielskiego, w których interesie leży bezwzględna konkurencya pomiędzy przedsiębiorcami na rynku towarowym, a pomiędzy najemnikami przy szukaniu zatrudnienia i których zdaniem władza państwowa winna odgrywać rolę jedynie stróża nocnego, ochraniającego własność od zamachów ze strony rzezimieszków i nie uczynić ani kroku w kierunku bronienia słabszych, chociażby za pomocą prawodawstwa fabrycznego, marzenia te wszystkie zostały właśnie przyodziane przez Spencera sankcyą „bezwzględnej" a wiecznej sprawiedliwości.

Przypatrzmy się samym wywodom.

Spencer wyprowadza przedewszystkiem na scenę pojedynczego osobnika organicznego i zastanawia się nad trybem jego postępowania i skutkami stąd wypływającymi. Jak wiadomo, zasady stosunku zwierzęcia do otoczenia są nader złożone. Rączy zając np. ma więcej szans umknięcia, aniżeli powolny — jeśli nieprzyjaciel jest w obu przypadkach jednakiego uzdolnienia. Najzręczniejszy wszakże zając nie ocali się ucieczką, jeśli w czystem polu trafi na odpowiedniego charta lub sępa. Żadna rączość nie pomoże też, kiedy nadejdzie odpowiednia posucha i zabraknie wody i pokarmu. Słowem, natura jednostki plącze się na każdym kroku z wpływami otoczenia — martwego i żywego; jakie czynniki odgrywają większą rolę w życiu bohatera czworonożnego, pytania tego niepodobna tak łatwo rozstrzygnąć. Tymczasem Spencer z góry już przypisuje „naturze" zwierzęcia pierwszorzędne znaczenie. Bastiat i inni przedstawiciele pospolitej ekonomii wolnohandlowcowej dowodzili, że wszelka zapłata jest proporcyonalna do oddanych usług i że nawet podczas przesileń handlowych każdy niesie odpowiedzialność jedynie za swoją „naturę." Otóż Spencer to marzenie ideologów wolnej konkurencyi wprowadza do przyrody jako rzeczywistość i każe tej ostatniej być idealnym przedsiębiorcą, wynagradzającym organizmy według zasady akordowej. W ten sposób ponieważ im ktoś jest „godniejszy," tem więcej otrzymuje „zapłaty" ze strony przyrody, a zatem posiada też on więcej szans wytrwania i pozostawienia potomstwa. Rzeczywistość zna jedynie wytrwanie bardziej przystosowanych do otoczenia, co jest czemś odmiennem od Spencerowskiego zwyciężania „godniejszych"! Mniejsza jednak o to; najważniejsza, że z tego otrzymujemy bezwzględną zasadę etyki osobniczej: każdy powinien być celem dla samego siebie i dążyć do podniesienia swojej skali życiowej. Lecz zasada ta, zdaniem Spencera, nie może uwidocznić się nigdy w całej pełni. Konieczność wychowania potomstwa oraz przebywania w społeczeństwie nakłada pewne cugle na jednostkę. Byt rodzinny i społeczny są warunkami dla wytwarzania gatunku lub wytrwania całej sumy pojedynczych okazów. Tutaj, dla ocalenia całości wymaga się nieraz licznych ofiar ze strony jednostek. Nadto wszelkie pożycie gromadzkie opiera się na pewnym zatargu. Każda jednostka dąży do takiego postępowania, aby przysporzyć sobie jaknajwięcej korzyści i w całej rozciągłości wyzyskiwać do swoich celów wszelkie „nie-ja." Lecz z drugiej strony w tem samem społeczeństwie znajdują się inne jednostki, którym olbrzymią szkodę może wyrządzić takie czyjeś bezwzględne postępowanie. Następuje zatem konieczność odpowiedniego przekształcenia etyki osobniczej i nałożenia na nią stosownych powściągów. Spencer sądzi, że mając te pierwiastki, można z nich wyprowadzić „bezwzględny" ideał sprawiedliwości, tj. tego, co jednostka w społeczeństwie może czynić, i tego, czego wyrzec się musi ze względu na obecność innych. Owa odpowiedzialność przeto składa się z dwóch żywiołów: jednego, natury twierdzącej, zawartego w właściwej każdemu człowiekowi świadomości praw do użytkowania z władz swoich i zaspokajania popędów; z drugiego, natury przeczącej, pochodzącego z poczucia owych szranek. Owej dedukcyjnie wyprowadzonej idei sprawiedliwości bezwzględnej odpowiada zdaniem Spencera ustrój, zwany przezeń przemysłowym

*) *Justice, being, IV part of the principles of Ethics.*

Jakim sposobem słowa przedostały się na papier, jak i kiedy pisała? — nie wiedziała, nie pamiętała.

Tysiąckrotnie, przebiegając myślą szeregi osób, znanych dawniej i teraz, pytała sama siebie, kto mógł nosić imię i nazwisko, które dziś tak niespodziewanie znalazła na białej karcie papieru, własną ręką wynotowane?

Stanowczo nie pamiętała nikogo takiego; stanowczo znać nikogo takiego nie mogła.

— Może kiedy, przechodząc, przeczytałaś imię i nazwisko podobne na klepsydrze ulicznej; może imię to i nazwisko utkwiło w głębi twego umysłu bez woli twej i wiedzy i dopiero senna halucynacya na jaw je wyprowadziła? — mówiły myśli jej, przyzwyczajone w ciągu szeregu lat do racyonalnego rozstrzygania kwestyi.

Wstrząsała głową przecząco. Usta jej i oczy wyrażały niepewność, chaos pojęć rozbieżnych.

Zwolna, stopniowo umysł jej uspokajał się; zwolna, stopniowo opanowywała go idea, którą wczoraj jeszcze Marya drwiącym witała uśmiechem.

Parę godzin przesiedziała na kanapie bez ruchu, z głową opartą o boki miękkiej, atłasowej poduszki.

Gdy wstała, kilka lekkich zmarszczek przecięło białe jej i gładkie, jak u dziecka, czoło.

. . . .

Zmierzch dnia pogodnego zsunął się już oddawna z promieni gasnącego w aureoli purpury słońca.

Zegar wybił zwolna ósmą godzinę.

U drzwi mieszkania Maryi rozległ się głos dzwonka, kilkakrotnie, w krótkich, szybko po sobie następujących przerwach powtórzony.

Julian, Teodor i Antoni stawiali się na zwykłą wieczorną pogawędkę.

— Jestem chora; nie przyjmuję dziś nikogo — oznajmiła Marya służącemu od rana.

Jan odprawiał gości, każdego z kolei, tłomacząc panią swoją bólem głowy.

Marya, wsunięta w głąb fotelu, przed kominkiem, na którym od godziny płonęło kilka wiązek drewek, podawała ramiona, szyję i ręce falom promieniejącego ciepła.

Cały dzień czuła się dziwnie zmęczoną. Myśl rozmowy z przyjaciołmi, którą tak bardzo cieszyła się zwykle, dziś napełniała ją niechęcią. Cienie głębokiej zadumy grały w jej oczach; patrzyła przed siebie, jak lunatyczka, nic nie postrzegając.

Ogień na kominku wygasł już oddawna; cienie ponurej nocy jesiennej zaległy pokój, gdy podniosła się nakoniec.

We wzroku jej błysnęło nagłe postanowienie. Zadzwoniwszy na służącego, kazała mu zapalić światło. Gdy Jan automatycznie spełnił rozkaz, usiadła przy biurku, wyjęła z małej teczki podręcznej arkusik pąsowego papieru o postrzępionych brzegach i nie zastanawiając się nad doborem słów, nie kreśląc żadnego z nich, szybko, pewnym i stanowczym ruchem ręki pisała:

„Wczoraj jeszcze żartowałam ze spirytystycznych teoryj pana; dziwiło mię, jak człowiek myślący mógł je wyznawać. Dziś zwijam sztandar dawnych swych przekonań. Jest rzeczywiście coś dziwnego, coś niewytłomaczonego w świecie, coś, co wymyka się z pod samowiedzy naszej, czego nie zrozumiemy nigdy, co istnieje jednak, co jako fakt postrzegać, śledzić i rzutem silnej woli wywoływać możemy. Za radą pana odbyłam pierwsze posiedzenie; szczegółów jego opisywać nie będę. W przyszłym tygodniu odwiedzę pana w Paryżu: będziemy mogli pracować razem. Znajdziesz mię przeobrażoną zupełnie."

Skończywszy list, wsunęła go w kopertę, położyła na niej adres Edmunda i zakleiła ją zwolna.

Głowa jej po chwili napowrót zwisła na piersi; napowrót wpadła w głębokie, długie, nieme zamyślenie.

Zegar, uderzając dwunastą, wyrwał ją z niego.

Podniosła się i zadzwoniła na służącego.

— Odnieś to na pocztę jutro, zaraz z rana — rzekła, gdy Jan stanął w progu pokoju.

Podając mu list w pąsowej kopercie, z adresem Edmunda, uśmiechnęła się sama do siebie: w umyśle jej zapanował spokój; przestąpiła pierwszy i najtrudniejszy próg nowej wiary.

Cecylia Walewska.

a którego najbardziej posuniętemi wcieleniami są Stany Zjednoczone i Anglia, najbardziej zaś opracowanymi kodeksami i katechizmami traktaty różnych Leroy-Beaulieu, Seniorów, Passy. Rozumie się, zasada bezwzględnej sprawiedliwości, wypowiedziana w ogólnych zarysach, niczego jeszcze nie poucza. Otóż wyprowadziwszy jej oderwane wypowiedzenia, filozof angielski zastosowuje ją do pojedynczych a konkretnych wypadków i wygłasza w postaci sumy praw pojedynczych. Zasada bezwzględna w takiem szczegółowem opracowaniu wymaga, ażeby życie i zdrowie każdej jednostki były przedmiotem świętym i nietykalnym, o ile tego nie będzie żądał dobrobyt ogółu, ażeby w dalszym ciągu każdy posiadał prawo bezwzględne do przenoszenia się z miejsca na miejsce, do niczem nieskrępowanego użytkowania z sił przyrody i zupełnej własności nad dobytkiem zabiegów swoich — materyalnych i umysłowych, a zatem mógł dowolnie rozdawać go i zapisywać, swobodnie z kimkolwiek wymieniać i zawierać wszelkie umowy i kontrakty, wreszcie produkować to i w ten sposób, co i jak mu się spodoba. Zwracamy uwagę na nacisk, jaki Spencer kładzie na swobodę handlu i produkcyi, oraz na wolność zawierania umów, słowem, w bezwzględnej sprawiedliwości nie zabrakło ani jednego łaknienia mieszczańskiego. Atoli ów ideał bezwzględny nie jest nigdzie wcielony w życie; cały postęp polega właśnie na tem, że ludzkość zwolna zmierza w tym kierunku w miarę zapanowywania przemysłowości.

Książka Spencera poświęca dużo miejsca przedstawieniu, jak rozwijały się różne składowe części nakreślonego w niej ideału. Warunki bytu pierwotnego zmuszały każdą hordę ludzką do toczenia walki z wszystkiemi innemi i do bacznej ostrożności. Lecz aby można było osiągnąć te cele, horda stanowiła zwartą całość, posłuszną rozkazom władzy centralnej, która odgrywała rolę niby mózgu. Jednostka na ołtarzu dobra ogólnego winna była złożyć wszystkie swoje prawa. Jej stanowisko określało się nie dowolną umową, lecz tradycyą. Doszło do tego, że tu i owdzie utraciła prawo do nietykalności fizycznej. Dzieci porzucano podczas głodów; podobnie wyrzucano starców na pastwę losu; człowieka zakneblowano do niewoli, w ciągu zaś dalszym do pańszczyzny, niekiedy z prawem życia i śmierci nad nim. Dopiero krok za krokiem, wyszedłszy z tego stanu pierwotnego, człowiek zdobywał świadomość o tem, iż istnieje jakaś sprawiedliwość, która wymaga, żeby życie jednostki było nietykalne. Spencer gromadzi szereg wywodów, popartych faktami etnograficznymi, że postęp właśnie szedł tak a nie inaczej. To samo czyni on i dla innych wymagań sprawiedliwości bezwzględnej, np. swobody wymiennej. Bezwzględny ów ideał jest jakby latarnią, która przyświeca ludzkości i do której ona wciąż się zbliża. Zaznaczymy, że ponieważ istotnie dzieje ludzkie nie zupełnie pasują do owego ewolucyjnego wykluwania się bezwzględnej sprawiedliwości, Spencer je często fałszuje, a fidżyjczycy, patologiczna, bo epileptyczno-ludożercza grupa ludzkości, jest manekinem, który wciąż służy za świadka, że filozof mieszczański ma słuszność. Wreszcie dzisiejsza chwila, mówi on dalej, rozwój urządzeń przemysłowych w nadzwyczajnym stopniu sprzyja wcieleniu bezwzględnej sprawiedliwości, lecz temu jeszcze stoją na przeszkodzie szczątki dawnej organizacyi społeczno-przymusowej i pojęć wyhodowanych na tym gruncie; wyjątku zaś pod tym względem nie stanowi nawet Anglia ze Stanami Zjednoczonymi. Sarka na pogląd, że państwo wydaje ustawy fabryczne, które pozbawiają ludzi pierwszorzędnego prawa — swobody umów i wolności produkowania.

W całości mamy zatem przed sobą nową próbę z zakresu prawa naturalnego. Spencer przyznaje się, że uprzedził go już Kant, choć usiłuje dowieść, że wywody tego ostatniego są płytsze. Zbliżenie to wykazuje jeszcze głębiej naturę dedukcyjną owego ideału. Był czas, iż ekonomiści chwalili się swoją wyższością: chemik, ażeby odkryć jakieś prawo, musi pracować w laboratoryum, tymczasem on, ekonomista, potrzebuje wyjść na przechadzkę i tutaj zagłębić się w samym sobie! Otóż naukowa próba wysnucia sprawiedliwości, przedsiębrana świeżo przez Spencera, posiada tę samą „wyższość.“ Metoda jego, nawet terminologia i wady są te same, co u krytyków przeszłego stulecia. Brak tylko ich potęgi umysłowej.

K. R. Ż.

TYPY ZAWODOWE.

Jak są chorzy i zdrowi, piękni i szpetni, podobnie w tem samem społeczeństwie znajdują się ludzie niejednakowych uzdolnień umysłowych odmiennych charakterów i różnorodnej budowy emocyonalnej. Nierówność duchowa członków społeczeństwa jest podstawowym faktem jego życia. Otóż powstaje pytanie, jaki zachodzi stosunek owych wrodzonych skłonności do zajęć? Wprawdzie rzadko się zdarza, aby ktoś w wyborze ostatnich szedł obecnie za wewnętrznem swem upodobaniem, w większości bowiem wypadków rozstrzyga wzgląd na karyerę, lecz niekiedy urzeczywistnia się ta zgodność serca z działalnością. Już przed kilku laty wspominaliśmy w łamach *Prawdy* o tej antropologii typów zawodowych. Wracamy dzisiaj znowu do niej z powodu świeżo nagromadzonego materyału. Jak i w poprzednich wypadkach, dotyczy on przeważnie faktów natury psychiatrycznej.

Percy Smith, asystent szpitala w Bethleem, badał nader ciekawą postać psychiczną. B... od lat najmłodszych czuł szczególne upodobanie do znęcania się nad zwierzętami domowemi oraz nad mniejszemi dziećmi. Milczący, wiarołomny, był biczem malców. Razu pewnego zaciągnął chłopczyka do ustronia, rozebrał go i zaczął ćwiczyć witką wierzbową z całych sił. Nie dość tego, gryzł go i zadawał rany, grożąc zabiciem, jeżeli ofiara choć raz zawoła o pomoc. Niebawem aresztowano młodego krwiożercę za poderznięcie gardła koniowi sąsiada; oburzenie powszechne było tem większe, iż oddawna znajdowano w okolicy w ten sposób mordowane bydło, a nadto drób' ginął masami. Zatrzymany B. przyznał się do tych wszystkich czynów, a nadto oświadczył, że drobiowi ukręcał wprost głowę i potem zakopywał do ziemi. Wyszedłszy z więzienia, w którem przesiedział rok, próbował zadusić młodszego brata, śpiącego wraz z nim na tem samem łóżku. Innym razem macocha, wróciwszy do domu, nie znalazła w kołysce swego niemowlęcia. Okazało się, iż starszy brat wyniósł je do innego pokoju i tutaj usiłował udusić, kładąc na nie poduszki. Za kradzież dostał się wreszcie bohater do domu poprawy na lat 7. Po wyjściu wstąpił do szeregów kawaleryi. Jednego dnia wyprowadził swojego konia do bagna, gdzie tak go zbił, iż nazajutrz znaleziono zwierzę nieżywe, sam zaś zbiegł. Wrócił znowu do rodziców. Pewnego wieczora ojciec, krając jabłko, skaleczył się w rękę. Na widok krwi B. zerwał się, blady, wzburzony, niespokojny. Wybiegł z izby, wpadł na podwórze sąsiada, gdzie poderznął gardło koniowi. Następnie umknął do lasu; tam, spostrzegłszy młodą dziewczynę, rzucił się na nią i zgwałcił. Skazany został na powieszenie, lecz ułaskawiony, po latach 10 więzienia odzyskał wolność. Pierwszym jego czynem było w sposób niezwykle barbarzyński oszpecić konia, za co znowu dostał się do szpitala, skąd zemknął po latach pięciu, usiłując przed wyjściem zgwałcić młodą dziewczynę.

Georget badał inny podobnego rodzaju okaz psychiczny. W pewnych chwilach obłąkania dostrzegał dokoła siebie unoszące się płomienie, a widok krwi wraz z jej zapachem dawały mu nadzwyczaj wiele rozkoszy. W powyższych wypadkach mamy dziwne sprzężenie żądzy pastwienia się, wrażliwości niezwykłej i pobudliwości wobec krwi oraz nieobecności uczuć natury sympatycznej. Okazy te są w obu razach zamykane w więzieniu lub szpitalu. Lecz nie ulega wątpliwości, że gdyby znalazły odpowiednie stałe zajęcie, w którem zużytkowałyby swoją chuć krwiożerczą, zakończyłyby życie jako „najuczciwsze“ jednostki. Wieki średnie, z ich bandami kondotyerów i wieloletniemi wojnami, oprawców i mistrzów tortury, niezwykle sprzyjały wyładowaniu się zawodowemu podobnego rodzaju natur. Dzisiaj, między innemi, znajdują one ujście w rzeźnictwie. Z mnóstwa znajdujących się pod ręką faktów przytoczymy jeden, badany przez Marro. Podpalacz-epileptyk odsiedział karę swoją w więzieniu. Popędy krwiożercze spowodowały go do wybrania zawodu rzeźnickiego. Kiedyś, w dzieciństwie jeszcze, o mało co nie zamordował młodszego brata i nie wpakował mu noża w gardło podczas zabawy: brat przedstawiał mu się jako bydlę, on zaś jako rzeźnik. W więzieniu siedząc, z niezwykłą przyjemnością przysłuchiwał się rykowi wołów w poblizkim szlachtuzie. „Dzisiaj ryczy, a jutro będzie zarznięty“ — mawiał wtedy z nietajoną uciechą do d-ra Marro. Kiedy spytano go, czy lubi swoje rzemiosło rzeźnickie, odpowiadał: „Rozumie się, tam nóż jest w ciągłem użyciu, ogromnie lubię świeżą krew!“

Prof. Benedikt w *Annales d'hygiene* 1891 zajął się zbadaniem innego typu: włóczęgi. „Nie ulega najmniejszej wątpliwości — powiada on — że istnieją zarówno jednostki, jak i całe rasy, które przychodzą na świat z popędem włóczęgowskim. Skłonność ta występuje na jaw w najrozmaitszych warunkach, nawet najmniej sprzyjających. Najpierwszym podkładem tego popędu jest neurastezya fizyczna, moralna i duchowa, czyniąca dla okazów tego rodzaju rzeczą niemożliwą zarabianie pracą na utrzymanie, przynajmniej pracą ciągłą, prawidłową. Innym faktem, godnym uwagi, jest ta okoliczność, iż w duchowości włóczęgi uderza pewna peryodyczność. Równie od popędu włóczęgowskiego jest nieodłączną klaustrofobia, tj. uczucie męczącej trwogi i niepokoju w miejscach wązkich i zamkniętych. Im więcej to uczucie wybujało w dzieciństwie, tem większą odgrywa rolę w życiu emocyonalnem dojrzałej jednostki. Nie jest to stan wyłącznie i z pochodzenia nerwowy, lecz znajduje się w pewnej zależności od organów oddychania i krążenia krwi. Fizyologia ma tutaj wdzięczne pole przed sobą do poszukiwań; owo uczucie klaustrofobów odgrywa olbrzymią rolę w psychologii ras i plemion koczowniczych, które tak trudno poddają się kolonizacyi i przejściu do stanu osiadłego. Warto zaznaczyć też inny pierwiastek psychologiczny w naturze włóczęgowskiej: ogólną nadwrażliwość psychiczną, raczej wrodzoną, niż nabytą, która uniemożliwia odpowiednim osobnikom zajęcie się czemkolwiek systematycznie.“

Przedstawiliśmy w ogólnym zarysie wyniki poszukiwań prof. Benedikta. Ażeby zaś poprzeć je jakimś przykładem konkretnym, skorzystamy ze świeżo ogłoszonego przez Dymitra Drilla traktaciku o wrodzonym włóczędze niepełnoletnim. Chłopiec to dwunastoletni, bardzo szczupły, z oczami przebiegłemi, przelatującemi z przedmiotu na przedmiot. Jest on bardzo bojaźliwy i w ogóle nie wykazuje ufności do otaczających go osób; uporem nieprzełamanym odpowiada na wszelkie strofowanie, lecz łagodno-

ścią łatwo można go pokonać. Podczas pogodnego nieba czuje jakiś niepokój, który dochodzi do tego, iż ogarnia go niewysłowiona tęsknota. Jakaś siła nieprzeparta ciągnie go coraz dalej, do światła, wolnej przestrzeni, coraz nowych a dalszych miejsc. Według Drilla, malec jest organizmem słabym, nadzwyczaj nerwowym i wrażliwym, wymagającym bezustannie nowych podniet, które w stopniu niezwykle silnym elektryzują go, podnoszą żywotność i przyjemność bytu. Skąd uciekł nie wiadomo. Przyczepiał się pod środkowymi wagonami pociągu towarowego i tak jechał od stacyi do stacyi; kiedy pociąg zbliżał się do większej, gdzie robiono rewizyę wagonów czy są w dobrym stanie, zeskakiwał, leżąc pomiędzy relsami, póki reszta wagonów nie przeszła nad nim. Dojechawszy do celu podróży swojej, udał się jeszcze dalej, dawnym sposobem. Lecz szczęście nie dopisało mu, zeskakując upadł i koła wagonu zmiażdżyły mu palce. Jako włóczęgę małoletniego, oddano do domu poprawy. Przebył tutaj od marca do czerwca. Wtedy zbiegł, całe lato i jesień odbywał swoje wędrówki z miasta do miasta, wreszcie w lutym wrócił dobrowolnie do przytułku; zobaczywszy u wrót jednego z dozorców, rzucił się na niego i zaczął całować mu ręce. „Znowu do was powróciłem.“ Zbgadnięty, czemu umknął, odparł: „tęskno mi było, coś parło mnie bezustannie coraz dalej!“ Warto też przytoczyć słowa, które wyrzekł dyrektor zakładu do Drilla z powodu tego malca. „Gdybym miał prawo rozporządzać nim, natychmiast oddałbym tego chłopca do służby marynarskiej i wyjednałbym dla niego bezpłatną a daleką podróż. Byłby wtedy ocalony. Wyrósłby z niego wtedy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, namiętny i niezłomny majtek, a może coś więcej, gdyby okazało się, iż posiada zdolności. Wróciwszy z podróży, zjawiałby się on, jak obecnie, do naszego przytułku a wiedząc, że wiosną czeka go nowa podróż, przewybornie godziłby się z naszymi zwyczajami, uczyłby się rzeczy potrzebnych do przyszłej wędrówki, z nastaniem zaś ciepła czyniłby zadość swojemu nieprzepartemu i niepowściągnionemu popędowi oglądania coraz nowych okolic.“ Jeżeli to nie nastąpi, dyrektor zakładu jest pewien, że malec zamieni się na włóczęgę-żebraka. I znowu w tej postaci mamy klucz do badania natur włóczęgowskich, żebrackich, podróżniczych, komiwojażerskich, pasterzy stepowych i koczowników.

Wreszcie winniśmy wspomnieć jeszcze o szczególnym typie — intryganckim. Był to, mówi autor z którego czerpiemy, istotny bicz zarówno dla współtowarzyszów swoich, jak i całego zarządu więzienia. Przebiegły, niezwykle żywy i przenikliwy, lecz w najwyższym stopniu charakter nieuporządkowany, nie mógł on przesiedzieć jednego dnia, aby nie wyszukać i nie wymarzyć jakiegoś planu. To udzielał rad, to znowu węszył, czy który z towarzyszów nie zbroił czegoś, podrabiał pieczęcie współuwięzionych, np. wyciągał od zbiegów i włóczęgów ich pochodzenie, a jednocześnie dawał przewyborne rady uniknięcia odpowiedzialności.

Wielu więźniów, idąc za wskazówkami tego okazu, mogłoby uniknąć wszelkiej kary, zbiedz z więzienia lub otrzymać łagodniejszy wyrok. Lecz właśnie wtedy, uzbrojony znajomością tajemnic obwinionego, K. zdradzał wszystko. Czyniąc to, bynajmniej nie miał na widoku zysków osobistych, lecz jedynie przyjemność, jakiej doznawał z takiego postępowania. W końcu oskarżenia stały się jego namiętnością. Układał pamiętniki, które winny były wpaść w oko władzom, wysyłał listy anonymowe, w których rzucał podejrzenie na osoby najrozmaitsze, oskarżał dozorców, naczelników itd. Uzyskawszy np. jakąś ulgę od dozorców, w tej chwili zdradzał to wyższemu zarządowi i wystawiał dobroczyńców swoich na ciężkie kary.

Z.

LITERATURA I SZTUKA.

CZYNNIKI SPOŁECZNE
W LITERATURZE I KRYTYCE.

Geniusz jest spotęgowaniem uczuć sympatyi i społeczności, a zarazem ogniskiem, skąd prądy na zasadach hypnotyzmu rozchodzą się po masach — oto punkt wyjścia Guyau. Czyni on obecnej krytyce „naukowej (Taine'a i Hennequin'a) wiele zarzutów. Naprzód nie zgadza się z tem, aby miała zadawalać się jedynie wyjaśnieniem dzieła, nie sądząc go. Sąd ten jest nietylko możliwy, ale stanowi istotę krytyki: polega on na zbadaniu dzieła samego w sobie — niezależnie od psychologicznych i socyologicznych warunków jego powstania oraz na określeniu przybliżonej „ilości życia, którą ono zawiera“ *). Badanie psychologiczne samego autora pozwoli nam poznać typy żywe przezeń pojęte w związku z własnem jego życiem i własną naturą: zobaczymy wówczas, do jakiego stopnia on je albo raczej siebie w nich zrealizował. Z drugiej strony poznanie środowiska ukaże nam to, co jest w geniuszu indywidualnem i istotnem. Taine i jego szkoła — zdaniem Guyau — nie zauważyli, iż dzieło charakteryzuje się nie tymi rysami, które cechują i inne dzieła, lecz tem przeważnie, co je od nich odróżnia. Szkoła ta nie dość studyuje indywidualizm utworów i ich życie własne, w samym zaś autorze upuszcza z widoku czynnik najważniejszy geniuszu, wolę świadomą i kochającą, gdy natomiast kładzie główny nacisk na temperament i wychowanie. Geniusz nie jest zwykłym produktem otoczenia społecznego, takim jest co najwyżej średni talent. Dlatego też życie zewnętrzne autora nie jest dostateczne dla wytłomaczenia jego dzieła. „Często — powiada Guyau — u prawdziwych artystów życie praktyczne jest tylko powierzchnią; dopiero ich utwory najlepiej objaśniają ich charakter moralny.“ Psycholog chce obyczaje, ulubioną lekturę, koleje życia i wpływy wychowania uważać za przyczyny tego lub owego dzieła, nie spostrzegając, iż wszystkie te warunki objaśniają się w znacznym stopniu przyczynami głębszemi, które wytworzyły dzieło i w niem się kryją. Cechami krytyka są — dla Guyau — sympatya i rozwój uczuć społecznych. Powinien on zupełnie oderwać się od swego „ja,“ aby pojąć dzieło i traktować je z miłością. Jest ono zaś tembardziej godne uwielbienia, im więcej zbudzi w nas myśli i uczuć, im więcej jest „suggestywne.“ Ale nie wszystkie duchy są w stanie jednakowo drgać przy zetknięciu z utworem, odczuwać całość wzruszeń, których on dostarcza. Stąd rola krytyka: powinien on wskazać te właśnie strony, które nie dla każdego są dostępne. Krytykiem idealnym jest ten, któremu dzieło poddaje najwięcej uczuć i myśli, który najlepiej potrafi uwielbiać to, co jest piękne i oddać następnie owo uwielbienie innym. Umysły zbyt krytyczne mają zwykle grunt anti-socyalny, który powinien nas — zdaniem Guyau — ostrzegać przed ich sądami. Opinia tłumu jest często słuszniejsza, gdyż on nie posiada osobistości, którąby mógł przeciwstawić autorowi: poddaje mu się więc naiwnie, biernie i może lepiej odczuć piękno jego dzieła. Krytyka powinna szukać nie wad lecz zalet: pobłażliwość i sympatya — oto główne jej cechy. Żeby zrozumieć autora, trzeba przyjąć wobec niego rolę medyum, ulegającego hypnozie. „Gdy chcemy ocenić, ile *życia* dzieło zawiera, krytyka nie może się oprzeć na niczem bezwzględnem, życia bowiem nie można rozkładać, trzeba je kochać, uwielbiać.“

Dla zakończenia wykładu doktryny Guyau przedstawmy jeszcze kilka jego uwag. Przy jakich warunkach sztuka może wzbudzać naszą sympatyę? Przedstawiając życie. Życie nawet istot niższych już nas zajmuje. Ale ono w bezpośredniej rzeczywistości jest indywidualizmem. Jego pieczęć powinny nosić na sobie wszystkie twory sztuki. Musi ona jednocześnie zwracać się do naszych stron społecznych. Bohater literacki powinien być przedewszystkiem istotą społeczną. „Czy on broni społeczeństwa, czy też napada na nie, zawsze interesuje nas głównie tą swoją stroną.“ Nareszcie, zdaniem Guyau, estetyka i etyka mają wspólną regułę „życia najbardziej natężonego i rozległego, zatem najpłodniejszego dla siebie i innych, najbardziej socyalnego i jednocześnie indywidualnego.“ Prawdziwa sztuka daje bezpośrednie poczucie takiego życia, gdy moralność dąży do urzeczywistnienia go. Celu tego w estetyce można dopiąć, między innemi, zapomocą pogodzenia realizmu i idealizmu.

Tyle Guyau. Wogóle pisarz ten otrzymał już u nas „na wiarę“ masę komplimentów, niczem nieuzasadnionych, tymczasem wszystkie jego teorye, jeżeli nie są *nie*-naukowo, są niewątpliwie *nad*-naukowe, tj. zbyt hypotetyczne (zastrzeżenie, które on sam czyni tylko względem niektórych swych poglądów). Co nas szczególnie uderza, to wygórowane rachuby i nadzieje, które on buduje na hypnotyzmie masowym. Że ten hypnotyzm obecnie stanowi w użyciu artystycznem czynnik przeważny, nie ulega wątpliwości, ale, żeby zawsze miało tak być, tego nam Guyau nie udowodnił i udowodnić by nie umiał. Jest to tem dziwniejsze, iż w swej etyce, której nie opiera „ani na sankcyi, ani na obowiązku,“ wysuwa on na miejsce masowych prądów hypnotycznych, a nawet instynktów, tylko świadomość i autonomię jednostki. W głębokiej krytyce Spencera, który dla przyszłości przepowiada moralnych manekinów, odruchowo dających jałmużnę i odruchowo skaczących do wody, aby ratować tonącego, Guyau stawia nawet prawo, iż „instynkt zanika z chwilą, gdy refleksya zostaje nań skierowaną,“ przewiduje więc zanik instynktów moralnych i wszystkich czynników nieświadomych. Tymczasem cała jego teorya estetyki oparta jest na zachowaniu działalności nieświadomej ducha ludzkiego i na prądach hypnotyczno-masowych. Ależ zastosowanie powyższego ogólnego prawa, które autor z mozołem wypracował i udowodnił (np. instynkt rozrodczy przeszedł już we Francyi pod wpływem refleksyi w dziedzinę świadomości zupełnie regulowanej przez jednostkę) burzy cały gmach teoretyczny, wybudowany przez Guyau w estetyce. Jeżeli jednostka zupełnie świadomie zacznie przeciwdziałać hypnotyzmowi, który obecnie jeszcze stanowi podstawę użycia estetycznego, to z czasem sztuka przestanie być przejawem życia społecznego, a przejdzie zupełnie w dziedzinę indywidualnego. Jest to wniosek, który mamy niewątpliwe prawo wyprowadzić, gdy sam Guyau wywiódł podobny w etyce, a trzeba przyznać, iż rola czynności nieświadomych ducha ludzkiego, prądów hypnotycznych i instynktów jest w życiu moralnem teoretycznie, a głównie praktycznie, nieskończenie większa, niż w życiu estetycznem: Jeżeli zaś z mglistych przestworów przyszłości cofniemy się do czasów obecnych i do nie mniej realnej przeszłości, to znajdziemy, iż teorya Guyau jest również wadliwa. Geniusze są dlań twórcami kierunków estetyczno-literackich, które następnie rozchodzą się po masach na zasadzie praw hypnotyzmu i naśladownictwa. Oczywista rzecz, iż przy tem założeniu tłumy są jednakowo zupełnie zdolne smakować w dziełach i kie-

*) Guyau *L'art au point de vue social.*

runkach najrozmaitszych — wniosek, który znajduje się w zupełnej sprzeczności ze wszystkiemi danemi historyi i doświadczenia: gdyby arcydzieła Eschylosa napisane zostały nie przed dwoma z górą tysiącami lat, lecz w chwili obecnej, to napewno zaćmione byłyby w oczach tłumu, nawet inteligentnego, przez blask Dumasowskich jasełek. Zresztą starożytność nie odejmuje im wartości, gdyż nikt ich prawie nie zna i — poznać nie chce, podczas gdy Dumas stanowi „delicyę" inteligencyi paryskiej. Oczywista rzecz, iż w analizie Guyau brak pewnych warunków i przyczyn. Chodzi o to, iż autor nie spostrzega bynajmniej t. zw. „kategoryi historycznych," które istnieją w pięknie również, jak i w innych dziedzinach życia społecznego. Nieszczęście Guyau, we wszystkich zresztą jego badaniach, polega na tem, iż analiza jego jest czysto psychologiczna, podczas gdy ona powinna byłaby być oprócz tego jeszcze historyczną, przynajmniej w znaczeniu niemieckiej *Völkerspsychologie*, jak ją pojmują Steinthal i Lazarus. Guyau zdaje się nie mieć najmniejszego pojęcia o tym kierunku i dlatego badania jego mają charakter nieścisłej gadaniny: zamiast faktów historycznych za punkt wyjścia służy mu jakieś „życie," które zdaniem jego powinno być jaknajbardziej natężone i rozległe. Wszystkie te rady nie objaśniają nam bynajmniej panowania Zoli w ciągu ostatnich lat dwudziestu, ani też teraźniejszego odrodzenia idealizmu. Widzimy więc, iż analiza społecznego charakteru sztuki jest u Guyau nadzwyczaj powierzchowna. Nie powiem, abyśmy się nie zgodzili z niektóremi jej stronami, nie powiem, aby ona nie rzuciła kilku promyków na oddzielne kwestye, ale nie więcej. Co się tyczy poglądów jego na krytykę, to nie przedstawiają one nic nowego, ani ważnego. Zarzuty czynione Taine'owi poprzednio już wypowiedziane zostały przez Hennequin'a i, zdaniem naszem, daleko lepiej. Oryginalne jest tylko żądanie, aby krytyk także ulegał „baraniemu duchowi" tłumu i pozbył się osobowości dla pochwycenia mistycznego „życia" w dziele. Jest to żądanie wogóle niedorzeczne do śmieszności, a nawet z punktu widzenia samego Guyau niesłuszne. Zdaniem autora, zapożyczonem zresztą od Hennequina, geniusz artystyczny i literacki jest nie tylko wytworem otaczającego społeczeństwa, ale jeszcze w znaczniejszym stopniu źródłem nowych ugrupowań społecznych. Jest on więc twórcą, działaczem praktycznym „na równi z Napoleonem i Cezarem." Wobec tych praktycznych skutków dzieła, krytyka ma także zadania praktyczne: powinna popierać lub hamować prądy hypnotyzmu, których źródłem jest geniusz. Krytyka jest więc i musi być w pewnem znaczeniu działalnością praktyczną, opartą na pewnej sumie przekonań subjektywnych. Powiedziałbym, iż tę rolę dotychczas główne odgrywała. Są dzieła, z początku rozchwytywane, których po pojawieniu się odpowiedniej krytyki nikt do ręki nie bierze. Pod tym względem teorya Taine'a lub Brandesa, wymagająca tylko tłomaczenia, nie wystarcza. Z drugiej strony krytyka jest esto-psycho-socyologią i wymaga od swych adeptów znajomości wszystkich trzech dziedzin nauki, czego świetne dowody dają swemi dziełami Taine lub Guyau, okazawszy, iż zasklepienie się w pewnej specyalności nigdy krytyka nie wyda. Taine nie zwrócił uwagi na to, iż krytyka ma przed sobą dzieła o pewnych efektach społecznych, które trzeba nietylko badać, ale i popierać lub wstrzymywać. Wskazał na to po części Guyau, ale nie spostrzegł znowu, iż krytyk dla osiągnięcia celu musi być, na równi z autorem, działaczem praktycznym, a zatem człowiekiem, który przedstawia pewną osobowość, nie zaś podobnem do zahypnotyzywania medium — jak on tego wymaga. Praktyczne zastosowanie krytyki Guyau jest pocieszne. Wzorów romansu psychologicznego szuka w *Pecheurs d'Islande*. Poezya filozoficzna doszła, jego zdaniem, w W. Hugo do swego szczytu, kupczyk tańczący ze swą narzeczoną lub staruszka cerująca pończochę, to „poezya wieczna, pierwsza datą," a Richepina i dekadentów za ich „anti-socyalne" tendencye utopiłby w łyżce wody. Tu możemy zapytać, na ile teorya uważająca geniusz za spotęgowanie sympatyi i społeczności jest słuszna. Czyż czynniki egoizmu, przeczenia lub nawet zniszczenia zawsze są pozbawione cech piękna? Czyż zachód bogów nie może ostatnimi promieniami wzbudzać tyleż zachwytu, co i jutrzenka wschodzących? Powiedzmy więcej, czyż zarzewie płonącego Rzymu nie mogło zawierać wysokich polotów artyzmu, również jak i egoistyczna epopeja Napoleona? Piękno nie zawsze szło w parze z moralnością i dlatego utożsamienie tych dwóch dziedzin, które upatruje w pięknie tylko przejaw społeczności, jest stanowczo mylne. Struny egoizmu daleko częściej wydawały tony estetyczne, niż struny uspołecznienia. A powiedzieć, że nawet typ anti-socyalny interesuje nas tą stroną, którą wchodzi w walkę ze społeczeństwem, znaczy wykręcić się kalemburem. I tu jednak moglibyśmy postawić pytanie: czy życie bardziej natężone i rozległe nie pozwoli kiedyś zjednoczyć estetyki z etyką, pytanie, na które mogłaby odpowiedzieć tylko socyologia, a które Guyau rozstrzygnął bądź co bądź nielogicznie. Jeżeli postęp polega na wyłamaniu się jednostki z pod praw hypnotyzmu w etyce, to taki sam ideał powinien być zastosowany i w dziedzinie piękna. Wówczas dążenia do indywidualizacyi myśli, uczuć, a nawet języka, które widzimy u dekadentów, byłyby niewątpliwie postępem, a estetyczny komunizm, cementujący wszystkie mózgi za pośrednictwem prądów hypnotycznych w jedną zgodną całość — pozostałością barbarzyństwa. Bynajmniej nas nie zachwyca ideał odruchowego manekina, jaki nam Spencer dla przyszłości maluje. Guyau odrzucił go po części tylko — gdyż jest wzorem drobnomieszczanina — w etyce, ale pozostawił go nienaruszonym w estetyce. Jeżeli zaś zechcemy stać ściśle na gruncie faktów, to niezależność „bogów na odrębnych słońcach" wydaje się nam w duchu czasu: charakterystyczny jest pod tym względem właśnie dekadentyzm, rozumie się, po odrzuceniu wielu bzdurstw dziecinnych lub wstrętnych. Powiedzą nam: zbytnia indywidualizacya jest oznaką rozkładu, nawet w poezyi, zwłaszcza gdy się przejawia w poszukiwaniu odrębnych języków. W odpowiedzi zapytam, gdzież pewność, iż bohaterowie Petroniusza, umierający w ostatnim kurczu rozkoszy estetycznej lub nawet fizycznej, są gorsi, szczególnie w znaczeniu piękna—a i w każdem innem— od maryonetek hypnotyzowanych?

L. W.

Opryszek dziennikarski. Umarł nareszcie stały współredaktor *Figara* i europejskiej sławy dziennikarz — Albert Wolf. Streszczał on w sobie całą kwintesencyę dojrzałego zachodu prasy i pływał po jej burzliwych i jak samo życie brudnych odmętach z iście korsarską bezczelnością. P. K. Zalewski wystawia mu w *Kur. warsz.* paszport moralny tej treści: Urodzony w Kolonii w jednym z Offenbachem domu, był jego towarzyszem lat dziecinnych. Nabywszy nieco języka francuskiego, podążył do Paryża, gdzie rozpoczął karyerę literacką zaparciem się swojej narodowości. Jako gruntowny znawca języka i literatury niemieckiej, znalazł wstęp do domu Dumasa ojca i był jego sekretarzem. Stanowisko to wszakże nie dawało mu chleba. Dumas obiecywał mu wprawdzie 6,000 fr. pensyi rocznej, ale wypłacał licho. Ułatwił mu atoli stosunki z prasą i dyrektorami teatrów i wykierował go na kronikarza, autora dramatycznego i krytyka malarstwa. Na tem dopiero polu Wolf zasłynął jako opryszek dziennikarski pierwszej ręki. Zawładnął on prędko reklamą krytyki artystycznej i stał się wszechwładnym panem losu artystów i mógł jednem skinieniem *robić* i odrabiać im sławę w poczytniejszych pismach paryskich. Za każde słówko przychylnej wzmianki ściągał sowity haracz od interesowanych. Trzy razy zbywał swoją galeryę obrazów, jedna zaś sprzedaż przyniosła mu aż 800,000 fr. Zbiory te były daniną artystów, gdyż jednym zamachem pióra mógł on niejednego postawić na świeczniku sławy, dać majątek albo pogrążyć człowieka utalentowanego w otchłań zapomnienia i nędzy. Należał do wszystkich szachrajstw z arcydziełami sztuki, ożywiał reklamą podstępne licytacye, na których dzieła pędzla i dłuta zyskiwały ceny bajeczne; bogacił w ten sposób handlarzy, którzy wczas umieli wyzyskać artystów, a potem na nich robili majątek, opłacając hojnie genialnego szantażystę. Nałożył później podatek i na autorów dramatycznych, narzucając się im na wspólnika dochodów z utworów, do których nie dał ani jednej głoski własnej. Na krótko przed śmiercią objął również po zmarłym niedawno Auguście Vitu krytykę dramatyczną i w ten sposób zagarnął pod swoje panowanie cały świat artystyczny Paryża, tańczący według jego komendy. Zarabiał sumy olbrzymie i wszystko przegrywał w Monaco. Powierzchowność miał równie ohydną, jak i sam charakter. Był wysoki, miał głowę małą o twarzy bez zarostu, osadzoną na olbrzymim kadłubie, mówił dyszkantem sopranowym eunucha i śpiewaków kapeli sykstyńskiej...

Jubileusz Ptasznika. Niedawno świat filistrów wyprawił sobie ucztę duchową: obchodził jubileusz *Ptasznika z Tyrolu*. Uczcił go dwojako: w teatrze—setnem przedstawieniem, na rogach ulic—afiszem czerwonym. Czemże jest jubilat? Operetką wzorową o melodyi tak głębokiej i bogatej, że po kilku przedstawieniach odtwarzają jej najulubieńsze i najlepsze aryе gwizdacze uliczni, malcy kilkoletni, a nawet wróble na dachach. Prawowitemi rodzicami tej „sztuki" były: banalność i flirt, dziećmi jej są także banalność i flirt, ale w głowach i sercach słuchaczy. Szczególnie zaś flirt! On kanałami duszy filisterskiej rozpłynął się wszędzie po zaułkach życia i stał się wszechprzytomnym. Zaczajony w ulubionej melodyi może już nawet czyha na przybysza w lupanarach... Ta właśnie esencya pozwoliła *Ptasznikowi* doczekać sędziwego wieku jubilata stuafiszowego. Nie dość tego—zrodziła ona w *Kuryerach* erudycyę zdumiewającej drobiazgowości. Mozart, Bethoven i Szopen u najfanatyczniejszych nawet swoich wielbicieli nie znaleźli tak skrzętnych znawców kolei, przebytych przez ich arcydzieła. Znamy najdokładniej wszystkie dzieje *Ptasznika* na warszawskiej scenie; wiemy, kiedy on „ujrzał światło kinkietów" w teatrze Nowym i przez ile dni, godzin i minut panował na afiszu. Mamy w pamięci zapisane niestartemi głoskami, kiedy i na jak długo „sztuka" tonęła w repertuarze, a kiedy, w ile dni, godzin i minut po pierwszem przedstawieniu wywleczono ją znowu na „światło kinkietów", za jakiej śpiewaczki sprawą stała się ta uroczystość. Wiemy, kiedy po raz pierwszy podano ten flirt na scenie teatru Letniego, ile było przedstawień drugiego aktu, pamiętamy doskonale o widowiskach złożonych z wyjątków operetki, gdzie nastąpiło (w teatrze Małym) jej 98 przedstawienie, na ilu scenach ją „produkowano", a właściwiej—działano na rzecz reprodukcyi... Recytujemy tryumfująco, że wszystkie role w tej operetce były „dublowane", niektóre nawet kilkakrotnie. Wiemy wybornie, który aktor i która aktorka i jaką rolę „dublowali". Sądzę, że erudyta ze światłem kinkietów w głowie, któremu całą tę wiedzę zawdzięczamy, nawet konając, gdyby go pytano, niсby nie uronił pamięcią z tych szczegółów, które mu do niej tak mocno przyrosły. Pac jest tutaj wart pałaca...

Nowa próba. Przedsiębiorczość Łodzi, a właściwie księgarnia Fischera w tem mieście zawstydzić chce pod względem wydawniczym Warszawę. Od nowego roku p. Fischer zamierza własnym nakładem wydawać szereg przekładów arcydzieł literatury obcej — pod ogólną nazwą *Biblioteczki powszechnej*, na wzór niemieckiej *Universal Bibliothek*. Na wstępie ukaże się *Romeo i Julia* w przekładzie panny Wiktoryi Rosieckiej, w dalszym zaś ciągu cały szereg utworów Shakespeare'a. Ceny wydawnictwa mają być nietylko przystępne, ale nawet nizkie — i słusznie. Życząc temu przedsiewzięciu pomyślności, pragnąć zarazem należy, żeby wydawca zawsze pamiętał o jednem: o ścisłej zależności pomiędzy należytem honoraryum tłomacza a wartością artystyczną jego przekładów. To jest niewątpliwy warunek powodzenia. Inaczej wskóra on tyle, co ktoś z jego poprzedników warszawskich: dostarczy dla publiczności tandety, a dla siebie — makulatury...

Kalendarze. Promyk wypuścił w świat swego *Gościa*, kalendarz dla ludu wiejskiego, jak zwykle ułożony starannie i zaopatrzony mnóstwem świeżych rad praktycznych.

Księgarnia Centnerszwera wydała *Kalendarz księgarsko-literacki*, zawierający katalog książek polskich z ubiegłego roku. Dodano także wykaz drukarń, bibliotek i czytelni.

Zagadka. P. S. Witkiewicz, który już tylu naszych estetyków posiekał na kotlety i usmażył bogowi śmiechu, rąbie obecnie w *Kuryerze warszawskim* za impresyonizm pp. Jankowskiego i Gersona. Cierpliwym świadkom tej rąbaniny od lat wielu nasuwa się pytanie: czy też w końcu p. Witkiewicz wynajdzie u nas, oprócz siebie, takiego krytyka, którvby cośkolwiek rozumiał się na malarstwie i nie był bezwzględnie głupim?

— P. Franciszek Czarnowski w ostatnim numerze *Gazety rolniczej* ukończył pierwszą część cennej pracy p. n. „Rola" jej pochodzenie, gatunki typowe, nawożenie i uprawa." W dalszym ciągu autor zamierza mówić o nawożeniu i uprawie. W pierwszej wyłożył pochodzenie gleby krajowej i podał nowy sposób klasyfikacyi gruntów.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LIBERUM VETO.

Marnowanie się sił umysłowych w maszynie społecznej. — K. Łuniewski. — Wspomnienie z walki. — Jakich ona potrzebowała zapaśników. — Stebelski. — Manekiny dla żalu i karawany nekrologowe. — Zgarnianie faktów. — Numery świąteczne. — Zagadkowa ważność tych płachetek. — Za przykładem Francyi. — Dodatek *Wieku*.—List Wereszczagina.— Sztuczne podnoszenie cen obrazów przez spekulacyę. — Publiczność przerażona drogością malowideł i karcona za obojętność dla sztuki. — Projekt zawiązania stosunków z Ameryką.

Węgiel, użyty do ogrzania lokomotywy tylko w małej cząstce zamienia się na pracę, w znacznej przepada pod postacią dymu. Podobnie marnują się siły działające w maszynie społecznej. W niej także tylko drobna ich część przechodzi w energię, reszta ginie jak dym. Ileż to razy służący, który nam czyści buty lub parobek, który dla nas orze, jest nierozwiniętym geniuszem—matematyki lub malarstwa! Miliony wielkich umysłów nie dojrzewają, nie wchodzą do ruchu cywilizacyi jako jej czynniki. Ludzkość jest dumna z obecnej swojej kultury, a jednakże ta kultura jest zapewne niemowlęca w porównaniu z tą, jaką dziś świat by posiadał, gdyby ród człowieczy w swym pochodzie nie marnował olbrzymiej masy jednostek zdolnych. Życie jest stale podobne do pobojowiska: co chwilę spotkać można rannych, konających lub poległych. Stanowią oni właśnie ten dym, który ulatuje kominami maszyny społecznej.

Zmarnowanym dymem rozwieli się właśnie świeżo dwaj ludzie, którzy nosili w sobie pewne siły. Gdzieś w zakątku prowincyonalnym zmarł K. Łuniewski. Łuniewski?—zapyta niejeden z czytelników, daremnie przeszukując swoją pamięć. Bądźcie spokojni—to nie grzech nie znać tego nazwiska. Nigdy ono bowiem nie rozbrzmiało w kraju szeroko, a od lat kilkunastu umilkło zupełnie. Łuniewski był jednym z waleczniejszych rycerzy *Kuryera Warszawskiego*, którzy pod komendą Szymanowskiego wojowali z „młodą prasą" w ósmym dziesiątku obecnego wieku. O co w tej walce chodziło zwykle ze strony „starych"? O deklamacyjny fajerwerk, spalony na ołtarzu dobra publicznego, o zręczny przygryzek lub krzywdzące posądzenie. Na taki użytek nie potrzeba ani wiedzy, ani zasad, ani talentu, tylko uzdolnienia do szermierki stylistycznej. Kto złośliwiej umiał wyśmiać przeciwnika i celniej ugodzić go zatrutym grotem, ten był oklaskanym zwycięzcą. W tych też utarczkach kształciły się przedewszystkiem i wyrabiały żywioły literackie podjazdowe. Podjezdkiem był Łuniewski. Umieścić w *Kuryerze* notatkę o rozbieganym koniu i wsadzić w nią przycinek dla „liberałów", napisać recenzyę książki o uprawie łąk, zaprawioną piołunem przeciw "pozytywistom", wyskoczyć na nich z za każdego krzaka, wsunąć im delikatnie żmiję za kołnierz, kiedy zawołają: „żyje"—powtórzyć echem „wyje" itd.—oto, co wówczas należało robić i co robił Łuniewski. Ponieważ tego się tylko nauczył, więc gdy ustała walka „starej" prasy z „młodą" i on zniknął zupełnie. A jednak był to niewątpliwie człowiek godzien lepszej roli i lepszego losu, stanowił bowiem siłę umysłową, która należycie skierowana mogła była przyjąć udział w literaturze. Spalił się w kominie *Kuryera* i wyleciał dymem, nie pozostawiwszy po sobie pamiątki, która by przetrwała wspomnienia jego przyjaciół i znajomych.

Nie tak bezpłodnie, ale również jako siła społecznie zmarnotrawiona, zakończył życie Wł. Stebelski. Jego poezye, a nawet jego artykuły sprawiały wrażenie okruchów szlachetnego kruszcu. Widocznem było, że los, ująwszy w rękę kryształ ładnego talentu, rozbił go o złą dolę. Stebelski też świecił odłamkami. Nieraz nawet śród pustej frazeologii, która z pod jego pióra zawsze barwnemi wysnuwała się pasmami, dostrzegłeś złotą nić oryginalnej myśli; nieraz w wierszu, popisującym się z akrobatyką rymową, błysnęła iskra uczucia tak głębokiego, jak gdyby wykrzesała się z serca wielkiego poety. Nietylko patrząc na jego beznadziejne zatapianie się w butelce, ale nawet czytając jego utwory, mówiono, że jest to człowiek zmarnowany. Wszyscy bowiem, nawet ci, którzy go lekceważyli jako siłę zużytą, uznawali, że natura dała mu lepsze przeznaczenie, niż on sam sobie wybrał. I co go zmiażdżyło? Szkoda wielka, że nasi dziennikarscy bijografowie, pisząc o zmarłych kolegach, nie zdobywają się zwykle na nic więcej, prócz na banalne pochwały. Gdyby bowiem szczerze ujawnili szczegóły i koleje ich życia, rzuciliby nieraz światło we wnętrze maszyny społecznej i dostarczyliby materyału do wniosków ogólniejszych. Przestańmy być parafianinami i pozbądźmy się skrupułów zaścianka. Zapewne, bywają rany, plamy i skazy, które lepiej ukryć pod wiekiem trumny, niż je obnażać publicznie i sprawiać bezcelową boleść żyjącym; wiele wszakże słabości, zboczeń i nieszczęść ludzkich należy wydobyć na wierzch nie dla urągowiska, ale dla nauki. Skąd my możemy znać nasze niedomagania, jeśli ich przyczyny i objawy taimy starannie! Porównajmy uważnie życiorysy ludzi zmarłych u nas a za granicą. Tam stawiają nam przed oczami całego człowieka z jego wszystkiemi właściwościami, którego rozumiemy, który ukazuje na sobie ślady wpływów swego otoczenia, w którym streszcza się całe niemal społeczeństwo. My posiadamy kilka nekrologowych manekinów: znanego obywatela, czcigodnego kapłana, szlachetnej matrony, męża z wielkim rozumem, męża z czułem sercem, które wystawiamy w miarę potrzeby dla oddania czci nieboszczykom. Gdy umrze ktoś z ludzi publicznie znanych, natychmiast wyznaczamy dlań karawan literacki tej lub innej klasy i odprowadzamy go do grobu. Czytelnik nekrologów literackich, jak przechodzień, który spotyka orszak pogrzebowy, nie wie, kto leży w trumnie, dopóki nie przeczyta napisu na blasze.

Stebelski odwieziony został na karawanie poetów nieszczęśliwych drugiej klasy. Rozumie się, nie objaśniało nas to, ani jakim był, ani jakim być mógł, ani czemu wskoczył w grób wcześniej, niż go śmierć wtrąciła. My nie lubimy ani jawności, ani dociekań głębokich. Powiesił się ktoś, powiadamy jak Heine o zgilotowanym: umarł na krótkotrwałą chorobę szyi — i nie badamy wypadku. Nawłóczymy fakty, jak paciorki na nić reporterską — i to nam wystarcza. A czy tam w tych faktach nie tkwią jakieś głębsze przyczyny, nikt nie pyta. Nie jest to tylko obojętność. Wielki młyn, zwany prasą, który miele Łuniewskich, Stebelskich i starł tyle już talentów, ma ważny powód milczeć o swych ofiarach.

Tegoroczny śnieg prospektowy był bardzo słaby, za to numery świąteczne niektórych pism — okazałe. Numer taki w życiu wydawnictwa peryodycznego uważa się za moment bardzo uroczysty, chociaż bywa także zabawny. Nieraz jakieś pismo złoży dwa lub trzy arkusze papieru, a zapełniwszy je pobieżnymi artykulikami i ogłoszeniami, ma nadzieję lub wyraźnie żąda, ażeby na to jego wielkie dzieło ściągnięta została uwaga publiczna. Wydawnictwa zamożniejsze urządzają w tych numerach rodzaj rewii sił współpracowniczych, uruchomiając nawet landszturm i inwalidów. Dlaczego kilka arkuszy papieru, stanowiących doraźne album, do którego zapisuje się mieszana rzesza urywkami na kolanie tworzonymi lub ćwiczeniami, na których błyszczy więcej kropel potu, niż oleju — nie rozumiem. Zwłaszcza gdy synowie i córy Melpomeny powołane zostaną do popisu i złożą swoje aforyzmy o „sztuce," można na chwilę rozproszyć czarną melancholię, ale niepodobna pojąć, czemu ten bigosik jest tak cenny i smaczny. Będzie on jednak corocznie pojawiał się na świątecznym stole naszej prasy, dopóki go nie usuną francuzi. Oni bowiem wymyślili jednodniówki i numery gwiazdkowe, oni też tylko mogą tę modę zastąpić inną. Jeżeli zaś dotychczas prasa nasza, z wyjątkiem typu pism tygodniowych, nie zdobyła się na nic oryginalnego i we wszystkiem naśladuje zagranicę, to wątpimy, ażeby kiedykolwiek miała i urzeczywistniała własne pomysły.

Nie należy jednak pomijać nawet drobnych objawów oryginalności. *Wiek* w ilustrowanym dodatku gwiazdkowym usiłował dać swym czytelnikom kalejdoskop obrazów prowincyi. Że przedstawienie kopalń dąbrowieckich jest ciekawsze i pożyteczniejsze, niż aforyzm aktorki, to — zdaje mi się — nie ulega wątpliwości. W Paryżu jednak wychowywana i paryskie upodobania mająca Warszawa zrozumie to wtedy dopiero, gdy dojdzie do tego, do czego wzywał Irlandyę Thakeray, wołając: „o moja szlachetna ojczyzno, kiedy dojdziesz do tego przekonania, że miotłę trzeba nazywać miotłą!"

Słynny malarz ruski, Wereszczagin, ogłosił w gazetach zagranicznych list, w którym na podstawie własnych doświadczeń podaje w wątpliwość wysokie ceny, osiągane jakoby przy sprzedaży znakomitych obrazów. Tak np. według Wereszczagina Chauchard nie zapłacił wcale 750,000 fr. za

głośnego *Angelusa* Milleta, lecz suma ta została zmyślona przez handlarzów dla podbicia w górę ceny innych płócien tegoż artysty, co jest zwykłym środkiem ich spekulacyi. Że malarz ruski w tym pojedyńczym wypadku (jak zapewniają wtajemniczeni) myli się i wysnuwa przypuszczenie z nieproporcyonalności pomiędzy wartością *Angelusa* a wagą ofiarowanego zań złota — to jest możliwe; że on jednak wogóle ma racyę, to nie ulega zaprzeczeniu. Spekulacya tegoczesna, rozporządzająca tysiącem sposobów hypnotyzacyi i milionem trąb reklamy, umie tak samo podlicytować utwory sztuki, jak wtykać wszystkim pewnego rodzaju szelki. Jesteśmy przekonani, że gdyby utworzyła się spółka z dużym kapitałem, któraby postanowiła dobrze sprzedać najmizerniejszy szyld sklepiku z Franciszkańskiej ulicy, obwiozłszy go po Europie i Ameryce śród wrzasków płatnego zachwytu prasy, zbyłaby go wreszcie za wysoką sumę jakiemuś bogaczowi, który nabywa tylko przedmioty drogie i dlatego, że drogie. Tem bardziej taki handel odbywać się może z rzeczami posiadającemi pewną wartość. Jeżeli wszakże nie dziwią nas owe fikcyjne ceny, zmyślane w widokach rachuby, poprostu zdumiewa nas widok artystów, wstępujących w ślady spekulantów. Kilkakrotnie zwracaliśmy uwagę, że gdyby zsumować ruble, wypisane na kartkach pod obrazami naszego Towarzystwa zachęty, wypadłaby nam cyfra, którą mógłby zapłacić chyba Hirsch i to przed nabyciem dla żydów Argentyny, podczas gdy całą tę galeryę sprzedanoby za 10 morgów gruntu na Woli. Ale publiczność o tem nie wie, że z ceny wystawowej można utargować jedno lub nawet dwa zera i obejrzawszy obrazy, odchodzi od nich z taką trwożliwą czcią, jak od Madonny Rafaela lub wieży Eiffla, nie pomyślawszy nawet o możności kupienia tak kosztownych tworów. Za to od czasu do czasu dostaje chłostę wyrzutami, że jest dzika, że nie ma zamiłowania do sztuki, że woli strojną suknię, niż obraz itd. Szanowni panowie artyści, pomożemy wam bić ją, tylko na litość nie przerażajcie jej bajecznemi cenami swych płócien i nie podtrzymujcie w niej przekonania, że namalowany zdychający koń lub przelatujący zając jest klejnotem, o posiadaniu którego marzyć nie może zwyczajny śmiertelnik. Nowa suknia kosztuje 30 lub 50 rs., a najbrudniejszy łachman żebraka na obrazie 500 lub 1,000; jakże chcecie, ażeby kupowano obrazy a nie suknie?

Kwestyę tę znowu przypomnieć warto wobec „wentylowanego" — mówiąc językiem warszawskim — projektu zawiązania stosunku z rynkiem amerykańskim dla naszej produkcyi malarskiej. Słyszeć będziemy, że p. A. sprzedał „Ślepą czaplę" za 800 rs., p. B. „Drapiącego się żyda" — za 1000, p. C. „Psią górkę" — za 2000, p. D. „Babę z jednym zębem" za 3000 itd. Cóż pomyśli publiczność, słuchając tych nowin? Nie dla chłopa imbryk, nie dla nas ślepa czapla lub baba z jednym zębem. Na takie zbytki mogą sobie pozwalać tylko bogaci amerykanie (którzy *nb* za tę czapkę i za tę babę cichym targiem zapłacą po 50 rs.).

Poseł Prawdy.

O PRAWDĘ.

Uwaga.

W nr. 50 *Wszechświata* znajdujemy sprawozdanie z siedemnastego posiedzenia komisyi stałej teoryi ogrodnictwa i nauk przyrodniczych pomocniczych, a w niem na samym początku wzmiankę, jakoby prezydujący na pomienionem posiedzeniu ubolewał z powodu umieszczenia w „jednem z czasopism" komunikatu naukowego, odczytanego „na poprzedniem posiedzeniu komisyi" i jakoby komisya uznała tak samo sprawozdanie, jak i formę jego za niewłaściwe. Niewtajemniczeni bliżej w sprawę sądzą na zasadzie owej wzmianki, że komisyi chodziło w danym wypadku o to, aby „czasopisma treści ogólnej" nie umieszczały sprawozdań z jej posiedzeń. Rzecz miała się inaczej. Komisya jednomyślnie uznała ogłoszone w nr. 322 *Kuryera codziennego* sprawozdanie z komunikatu naukowego p. t. „Biologia, jej stanowisko w układzie nauk przyrodniczych i zagadnienia" za *nieuczciwy pamflet*, nacechowany niechęcią osobistą względem autora komunikatu i nieznajomością omawianego przedmiotu. Jeżeli ubolewano z powodu, że ów pamflet został ogłoszony w *Kuryerze codziennym*, to tylko dlatego, że pisma brukowe są w Warszawie najwięcej czytywane i to przez sfery najmniej wykształcone, nie umiejące krytycznie zapatrywać się na rozmaitego rodzaju sprawozdania; dlatego to pomieniony pamflet może być tem szkodliwszy dla autora komunikatu naukowego, młodego a sumiennego pracownika na polu jałowej pod względem dochodowym nauki.

Dlaczego i jakiem prawem redakcya *Wszechświata*, złożona wyłącznie z członków komisyi, przekształciła do niepoznania uchwałę tej ostatniej, jest to dla nas tajemnicą. Czyżby autor „sprawozdania z siedemnastego posiedzenia komisyi" żywił ukrytą sympatyę dla filozofa-pamflecisty, ukrytego pod przejrzystym dla znających się na rzeczy pseudonimem „Hera"? W toku dyskusyi ujawniło się, że wszyscy obecni na posiedzeniu członkowie o panu „Herze" mają nie najpochlebniejsze pojęcie i że uważają artykuł p. Kozłowskiego p. t. „Protest." ogłoszony w nr. 49 *Prawdy*, za wyraz opinii całej komisyi o p. Herze i jego sprawozdaniu.

F. Urbanowicz.

PRASA RUSKA.

P. Piotr Agapiejew poruszył w nr. 277 *Warsz. Dniewnika* sprawę dostarczenia zarobków ruskim chłopom i rzemieślnikom z gubernij głodowych. Pomoc tę, zdaniem autora, znaleźć oni winni przy robotach publicznych w Królestwie Polskiem. Podstawą zaś realną tego życzenia jest ta okoliczność, że, jak donosi *Nowoje Wremia*, naczelna władza tutejsza, pragnąc przyjść z ratunkiem ludności gub. niżegrodzkiej, cierpiącej głód, zwróciła się do tamtejszego gubernatora z prośbą okazania pomocy w najmie 300 ludzi do robót ziemnych, dokonywanych w znacznych rozmiarach w t. zw. kraju zachodnim. Toż samo pismo, chwaląc ten środek, poleca go uwadze, jako cenną próbę pomocy na szerszą skalę dla prowincyj, dotkniętych klęską nieurodzaju.

P. Agapiejew zwrócił na to uwagę, ale w sposób następujący: Pole zarobkowania jest obszerne — w warszawskim okręgu wojennym dokonywa się dużo robót państwowych, zwłaszcza zaś w zakresie władzy ministra wojny. Lista ich jest długa: budowa koszar, szos strategicznych, mostów, nowych twierdz i wzmocnienie starych.

„Przy obecnych okolicznościach — wnioskuje on — ma się rozumieć, pożądanem jest ściągnięcie możliwie największej liczby ludzi do tych robót z gubernij cierpiących nieurodzaj. Należy nawet w tym celu poczynić ochotnikom wszelkie ułatwienia: dawać zaliczki, zmniejszyć opłatę przejazdu itd., zupełnie tak samo, jak to już było uczynione przy powyższej propozycyi gubernatorowi niżegrodzkiemu."

Ściągnięcie ruskich najemników, prócz ratunku przeciwgłodowego pażądane jest, zdaniem p. A., dla Królestwa jeszcze i z wielu innych względów.

„Z Rosyi — powiada on — przychodzi nad Wisłę mnóstwo takich cieśli, kamieniarzy, zdunów, brukarzy, kopaczów, jakich w tutejszym kraju stanowczo trudno znaleźć. Bez pomocy takich umiejętnych i zręcznych robotników wykonanie wszystkich niezbędnych robót skarbowych tutaj jest nader utrudnione. Żydzi, przedsiębiorcy robót, na pewno nie przez patryotyzm wolą najmować ruskich robotników, chociażby za wielką płacę. Doskonale oni wiedzą, że robotnik ruski wykonywa robotę lepiej i prędzej od miejscowego, a nadto jest tańszy. Jeżeli przedsiębiorca nie zdoła nająć żądanej liczby robotników z Rosyi, to usiłuje nimi zastąpić przynajmniej ważniejsze stanowiska: głównych majstrów, kierowników robót itd. Znanem jest, że stali i większi przedsiębiorcy żydzi trzymają się takich majstrów ruskich dziesiątki lat, płacąc im pensye nawet nie w czasie roboczym, a wszystko to dlatego, żeby nie stracić umiejętnego i doświadczonego robotnika. Swoich współplemieńców trzymają oni jako oficyalistów od administracyi i rachunków, tubylców zaś — w roli prostych wyrobników."

Przy robotach zbiorowych najtrudniejsze wykonywa najemnik ruski. Przy budowie ścian np. front i gzemsy robią kamieniarze ruscy, stronę wewnętrzną — miejscowi.

„Ci ostatni, mówi p. A., wyborną mają świadomość powagi robotników ruskich i chętnie im podlegają. Dość więc wezwać, a nasz prosty lud ruski da mnóstwo doświadczonych i inteligentnych pod względem rzemiosła robotników."

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę kasy pożyczkowo-oszczędnościowej dla urzędników zarządu do spraw włościańskich w Warszawie.

— Akcyonaryusze warszawskiego Towarzystwa fabryki cukru na ogólnem zebraniu rocznem uchwalili wyznaczenie emerytury rodzinom oficyalistów cukrowni „Walentynów," zamordowanych w wagonie kolei Bydgoskiej 19 listopada 1890 roku. Nadto rodzinie H. Schmidta wypłacono jednorazową zapomogę w sumie 900 rs. z funduszów kasy przezorności i pomocy.

— Postanowiono rozdzielić roboty publiczne (dla dotkniętej głodem ludności) na miejscowe w guberniach i ogólne państwowe. Na pierwsze przeznaczone będzie 10 milionów rs. z ogólnej sumy 30 mil. Wykonanie robót włożono na władze miejscowe przy pomocy ziemstw i innych organów. Utworzone będą spółki robotnicze (artele) pod nadzorem znanych obywateli.

— Z Nowoczerkaska donoszą, iż wskutek odezwy Towarzystwa opieki nad zwierzętami, kozacy dońscy oświadczyli gotowość przyjęcia na pożywienie przeszło tysiąca sztuk inwentarza po umiarkowanej cenie, a część bezpłatnie.

— Przez czas działalności Towarzystwa czerwonego krzyża w zakresie pomocy dla głodnych, do 1 grudnia zebrano 1,333,475 rs., do opiek gubernialnych nadeszło zboża około 130,000 pudów, w drodze znajduje się 20,000 pudów.

— Komisye, zajmujące się sprawą żywnościową, mają być utrzymane nadal, jako instytucye stałe.

— W r. b. wiele miasteczek w prowincyach południowo-zachodnich przemianowanych będzie na wsie i osady.

— W r. b. powstaną stacye agronomiczne w różnych miejscowościach państwa.

— Towarzystwo opieki nad ubogiemi matkami i ich dziećmi w Warszawie, ogłosiło sprawozdanie za r. 1888 i 1889. W roku pierwszym zakład położniczy, utrzymywany kosztem Towarzystwa liczył kobiet 180, w r. następnym — 266. Urządzono przy zakładzie specyalny oddział z czterech łóżek dla mężatek.

— Farmaceuci warszawscy wystąpili z podaniem do władzy o zatwierdzenie stowarzyszenia aptekarskiego na wzór kijowskiego. Do tego kroku skłania ich okoliczność, iż Towarzystwo farmaceutyczne składa się wyłącznie z właścicieli aptek, znaczna zaś liczba prowizorów, podaptekarzy i praktykantów nie ma swej własnej korporacyi.

— Zarządy kilku większych fabryk w Warszawie podwyższyły skalę udzielanej corocznie gratyfikacyi o 25 i 15%.

— Robotnicom wszystkich kopalń rządowych w Prusach, na podstawie nowych przepisów przemysłowych, wymówiono zajęcie.

— W Poznaniu zaprojektowano połączenie wszystkich stowarzyszeń rękodzielniczych w jedno.

Szkoły. Ministeryum dóbr państwa udzieliło pozwolenia na otwarcie specyalnych kursów gospodarstwa wiejskiego dla nauczycieli elementarnych.

Sprawy kolejowe. Inżenier kolei Władykaukaskiej, p. Erazm Jaszczołdowski, wynalazł system hamulców wagonowych, działających za pomocą elektryczności.

— Z polecenia władzy komunikacyjnej, wydział telegraficzny kolei Wiedeńskiej dodatkowo jnszcze zwiększony będzie o 12 posad etatowych telegrafistów stacyjnych.

— Zebranie gubernialne ziemstwa kazańskiego stara się o pobudowanie na koszt skarbu wązkotorowej kolei od Kazania do rzeki Wiatki i drugiej linii do Dźwiny północnej.

— Na budowę kolei Syberyjskiej w r. b. (1892) asygnowano 24 milonów rubli.

Zdrowie publiczne. W celu zapobieżenia rozszerzaniu się chorób zakaźnych przez dorożki, wynajmowane dla przewożenia chorych z mieszkań do szpitalów w Warszawie, nabyto oddzielną karetę, tudzież wyznaczono specyalnego dezinfektora, który obowiązany jest dezynfekować mieszkania po osobach dotkniętych chorobami zakaźnemi. Przy wykonywaniu tych czynności dezinfektor miejski korzysta z pomocy właścicieli i rządców domów, którzy w razie potrzeby obowiązani są dostarczać robotników.

— Departament lekarski wydał rozporządzenie, na mocy którego anodynę (eter siarczany z domieszką spirytusu) zaliczono do środków lekarskich, wydawanych wyłącznie za receptą.

— Z powodu omyłek wynikających z mniej znanych synonimów na receptach, rada lekarska zaleciła wszystkim lekarzom, aby używali synonimów, zawartych wyłącznie w ruskiej farmakopei i — aby pisali, o ile można, wyraźnie.

— W Gratzu z powodu influenzy zamknięto szkoły.

Wystawy. W Petersburgu odbędzie się wystawa przyborów kolejowych w r. b.

— Wystawa nasion otwarta będzie w Warszawie 15 lutego r. b. Mogą przyjmować udział i ubiegać się o nagrody wszyscy mieszkańcy Królestwa i Cesarstwa, przedstawiający okazy własnej produkcyi, wreszcie — cudzoziemcy po za konkursem. Termin na deklaracye upływa 1 stycznia r. b. Dostawa przedmiotów — na dni 10 przed otwarciem.

— Przedmioty z Francyi nadesłane na wystawę i rozkupione w Moskwie, opłaciły 102,845 rubli złotem cła. Największy popyt miały maszyny, wyroby bronzowe i jubilerskie. Przedmioty wysłane z powrotem do Francyi przewieziono w 167 wagonach i 88 platformach.

Przemysł i handel. Komitet ministrów obraduje nad projektem dopuszczenia do żeglugi pobrzeżnej na morzu Czarnem i Azowskiem statków zagranicznych dla przewozu 40 milionów pudów zboża.

— Władza wyższa zatwierdziła przepisy dla handlu wołami i świeżem mięsem w Warszawie.

Konkursy. Pierwszy termin nadsyłania prac na konkurs farmaceutyczny przeszedł bezskutecznie. Z tego powodu Towarzystwo farmaceutyczne wyznacza ponowny termin i ostateczny na 1 stycznia 1893 r. Warunki: 400 rs. nagrody za najlepszą pracę w języku polskim z dziedziny farmacyi praktycznej lub historyi farmacyi, dowolnej objętości. Treść pracy stanowić może podręcznik, obejmującej np. najlepsze wskazówki do wyrobu wód mineralnych sztucznych, praktyczne sposoby dochodzenia dobroci przetworów, objętych obowiązującą farmakopeją, fabrykacyę plastrów smarowanych, pastylek, ekstraktów, przyrządzania przetworów, żelatynowych, prowadzenia racyonalnej uprawy oraz suszenia ziół lekarskich i innych. W razie nie zadość uczynienia wymaganym warunkom, mogą być nagrodzone dwie prace pomniejsze, po rs. 200 i 100. O nagrodę ubiegać się mogą farmaceuci, urodzedni i zamieszkali w Królestwie Polskiem, bez względu na stopień naukowy. Prace nagrodzone wydrukowane będą kosztem Towarzystwa, a dochód ze sprzedaży książek pójdzie na utworzenie funduszu nowego konkursu.

— *Praw, Wiest.* ogłasza warunki konkursu na napisanie najlepszej historyi Finlandyi dla szkół.

— *Now Wr.* donosi, iż rząd hiszpański zaprosił artystów z Rosyi do udziału w konkursie na sporządzenie medalu na pamiątkę 400-nej rocznicy odkrycia Ameryki. Termin upływa 1 marca 1892 r.

Dobroczynność publiczna. Warszawskie Towarzystwo dobroczynności stara się o zgromadzenie funduszów na otwarcie kuchni bezpłatnych dla biednych w sześciu krańcowych punktach miasta, gdzie będzie wydawanych po 150 obiadów w każdej.

— W radzie gubernialnej warszawskiej dobroczynności publicznej podniesiono ponownie projekt otwarcia w obrębie gubernii domy przytułu dla 50 niemowląt, porzuconych przez matki.

Sądy. Skarga kasacyjna Barteniewa na wyrok warszawskiej izby sądowej, skazujący go na ośmioletnie ciężkie roboty, pozostawiona została przez senat bez skutku.

— Przed sądem przysięgłych w Krakowie toczyła się rozprawa karna (rozpatrywana ponownie) o nadużycia w urzędach celnych, popełnione przez urzędników i kupców, handlujących towarami kolonialnymi. Wszystkich oskarżonych (18-tu) uniewinniono. Z powodu śledztwa w tej sprawie, kilkanaście rodzin urzędniczych pogrążono w nędzy, wszyscy bowiem podejrzani o przestępstwo, od lat kilku zawieszeni byli w urzędowaniu.

Na wdowy. Koncert dany w d. 27 grudnia z. r. w sali ratusza na rzecz wdów i sierot po członkach towarzystwa subjektów m. Warszawy dostarczył słuchaczom przyjemności sporo i filantropii grosza trochę. Publiczność tak rozgrzał artyzm i flirt salonowy, że za same programy i z naddatków kapnęło do kiesy wdów i sierot aż z górą rs. 200. Śpiewano, słuchano śpiewu, zachwycano się optymistycznie, „optymistów," p. Gawalewicza, oklaskiwano i, jak zwykle, śmiejąc się, bawiąc lub smakując sztukę — otarto kilka łez...

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu J. Kasprowiczowi we Lwowie. Prosimy o adres dla porozumienia się listownego.

Panu W. Krz. w Ciech. Redaktor *Prawdy* jest chory i nie może tak prędko zadość uczynić żądaniu pańskiemu. Co do zakładu — podwójne.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 20 Декабря 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochw